NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

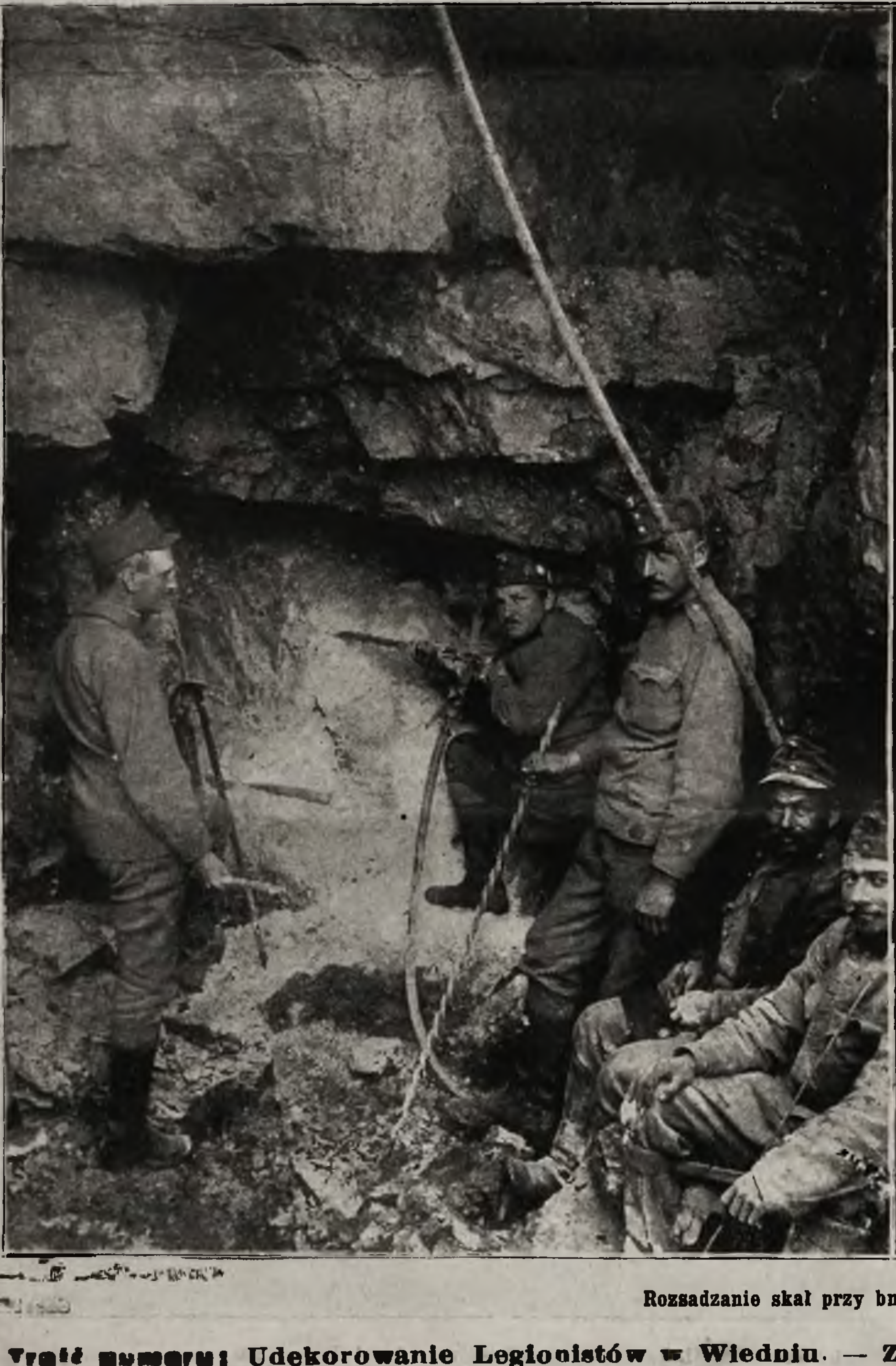
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 15 lipca 1916. Nr. 29.

Na południowym froncie.





Rozsadzanie skał przy budowie rowów strzeleckich.

Treść numeru: Udekorowanie Legionistów w Wiedniu. — Z walk na morzu — „Boże Ciało“ w Opocznie. — Poświęcenie kaplicy w barakach oświęcimskich. — W głębi wód morskich. — Legioniści-rekonwalescenci w Trenczynie. — Szósty pułk Legionów w polu. — Praca nie hańbi... — Zniszczony zabytek historyczny. — Z drugiej sceny krakowskiej i t. d.

Od Administracyi.

P. T. Prenumeratorów, którzy za trzeci kwartał roku 1916 złożyli przedpłatę według dawnych warunków, upraszamy uprzejmie o nadesłanie różnicy, która wynosi **jedną koronę.** Nadsyłać można przekazem lub w markach pocztowych.

Na południowym froncie.

(Do illustracyi tytułowej).

Nowoczesna strategia zmieniła zupełnie sposób prowadzenia wojen. Dziś najczęściej stosuje się walkę pozycyjną, polegającą na okopaniu się nieprzyjaciół i wzajemnem ostrzeliwaniu pozycyi, co jest niejako przygotowaniem do nastąpić mającego szturmu. Kto ma dogodniejsze stanowisko i silniejszą artyleryę, ten zwycięża, ataki masowe są niepotrzebnem tylko marnowaniem ludzkiego materyału.

Wobec tego walka na południowym zachodzie, na pograniczu włoskiem, jest bardzo trudną i wymagającą wielkich wysiłków, tutaj bowiem rowy strzeleckie kopać się musi w litej skale. Używa się do tego najrozmaitszych środków mechanicznych i chemicznych, jakimi rozporządza najnowsza technika. Illustracye tytułowe przedstawiają austryackich żołnierzy na włoskim froncie, zajętych przy rozsadzaniu skał.

„Boże Ciało" w Opocznie.

Na terenie Królestwa Polskiego, okupowanym przez armię austryacką, leży miasto Opoczno, stolica powiatu tego nazwiska, słynne niegdyś z tego, iż było ojczyzną Esterki, ulubienicy króla Kazimierza Wielkiego, który nawet wybudował tutaj zamek i chętnie w nim przemieszkiwał. Do czasu wojen szwedzkich miasto było w stanie kwitnącym, w roku 1655 zniszczono je doszczętnie i odtąd nigdy się już nie podźwigło. W odrestaurowanym zamku Kazimierzowskim mieściło się za czasów rosyjskich biuro naczelnika powiatu, w rynku znajduje się dom, w którym mieszkała rzekomo Esterka. Dom ten oddano Radzie opiekuńczej zakładów dobroczynnych.

Ciche i monotonne życie, jakie wiodą mieszkańcy tego prowincyonalnego miasteczka, przerwane zostało uroczystym obchodem procesyi Bożego Ciała, do czego ludność tutejsza za czasów rządów rosyjskich nie była wcale przyzwyczajona. Tak w nabożeństwie w kościele parafialnym, jak i w procesyi wzięła udział *in gremio* Komenda obwodowa, na czele której stoi pułkownik, Tadeusz Wiktor, i tłumy publiczności. Po raz pierwszy od lat przeszło stu postawiono ołtarz przed budynkiem magistratu. Komisarz rządowy miasta, rotmistrz trzynastego pułku ułanów, Mieroszewski, wybudował swoim kosztem ołtarz na wzniesieniu. Przyozdobiono go barwami narodowemi i orłem polskim, na wzorzystym kilimku umieszczono obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Straż ogniowa ochotnicza pełniła przy ołtarzu służbę honorową i utrzymywała szpaler w pochodzie.

Wszystko to zrobiło na ludności ogromne wrażenie, zwłaszcza, że Komenda obwodowa postawiła ołtarz także przed budynkiem sądowym, co dawniej nie byłoby możliwem.



Udekorowanie Legionistów we Wiedniu: Grupa odznaczonych

Udekorowanie Legionistów we Wiedniu.

We czwartek, dnia 29. czerwca, na placu musztry w X. dzielnicy wiedeńskiej odbył się akt dekoracyi Legionistów, przebywających obecnie na stacyi zbornej Legionów Polskich przy Laimäckergasse nr. 17.

O godzinie dziesiątej rano załoga stacyi ustawiła się na placu ćwiczeń, a komendant stacyi, major Roman Albinowski, wywoławszy przed front Legionistów, przeznaczonych do udekorowania, w przemowie zaznaczył radość, że do wieńca zasług, położonych przez Legiony w walce z wrogiem, nowe przybywają listki. Dzielnym żołnierzom, którzy osobistą tężyzną przyczyniają się do chwały narodu, należy się cześć i uszanowanie.

Major Albinowski udekorował następnie sekcyjnego, Wilhelma Grolla, z czwartego pułku piechoty srebrnym medalem I klasy za waleczność, zaś sekcyjnych, Stanisława Mielnika i Jana Krysę, jakoteż starszego żołnierza, Józefa Dyrdę, wszystkich trzech z pierwszego pułku piechoty, srebrnym medalem II klasy za waleczność.

Komendant stacyi zbornej podziękował następnie w gorących słowach biskupowi drowi Bandurskiemu i reprezentantowi N. K. N. drowi Habichtowi za ich obecność w tym uroczystym akcie żołnierskim, poczem odbyła się przed udekorowanymi żołnierzami i gośćmi defilada, prowadzona przez aspiranta oficerskiego, Buckiego.

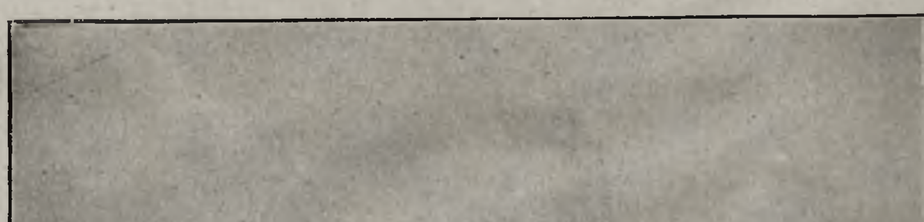
Po defiladzie Legioniści wznieśli okrzyk na cześć oficerów stacyi, a to: komendanta, majora Albinowskiego, poruczników dra Macieszy i hr. Michałowskiego i chorążego, dra Stocha, poczem w ordynku wojskowym wrócili do koszar.

Poświęcenie kaplicy w barakach oświęcimskich.

W dniu 23-go maja b. r. odbyło się w Oświęcimiu poświęcenie kaplicy prowizorycznej stacyi emigracyjnej dla robotników sezonowych. Na uroczystość tę przybyli: Jego Eksc. Książę Biskup krakowski Sapieha w towarzystwie sekretarza Niemczyńskiego, wiceprezes namiestnictwa dr. Stanisław Ustyanowski, radca dworu Sopuch, radca namiestnictwa Wenc, referent dla spraw emigracyjnych, inspektor sanitarny dr. Krzyżanowski, inżynier na miestnictwa Riess, z Wydziału krajowego członek Wydziału Dąmbski, inżynier Gawalewicz. Ponadto jawili się: kierownik starostwa Doschott, komisarz



„Boże Ciało" w Opocznie: Jeden z ołtarzy, wybudowany kosztem komisarza rządowego miasta, rotmistrza 13 pułku ułanów, Mieroszewskiego.



Udekorowanie Legionistów we Wiedniu: Oddział Legionistów wiedeńskiej stacyi zbornej podczas aktu dekoracyi.



Obrazki wojenne: Karabin maszynowy gotowy do strzału



Udekorowanie Legionistów w Wiedniu: Komendant Stacyi zbornej, major Albinowski, przemawia do Legionistów. Obok szef Biura prezydyalnego N. K. N., dr. Habicht i ksiądz biskup Bandurski.

powiatowy Attenstaedt, kierownik stacyi emigracyjnej, inżynier namiestnictwa Tyrała, kierownik budowy z ramienia namiestnictwa, Gałek, kierownik ekspozytury krajowego Biura pośrednictwa pracy, ksiądz Tirone, prowincyał OO. Salezyanów z kilku księżmi, delegaci K. B. K. Anczyc i Rząca i przedsiębiorca budowy, Hipolit Śliwiński, z licznem gronem inżynierów.

Po poświęceniu kaplicy przez Księcia Biskupa odprawił ksiądz Tirone cichą mszę św., w czasie której śpiewał chór młodzieży. Kaplicę wypełniły szczelnie tłumy robotników i robotnic. Po mszy św. zebrani odśpiewali pieśń „Serdeczna Matko“. Następnie rozpoczęło się zwiedzanie domów mieszkalnych dla robotników. Poseł Sliwiński, imieniem robotników i organów technicznych, powitał Księcia Biskupa i innych gości, na co w krótkich, serdecznych słowach Książę Biskup odpowiedział.

Baraki oświęcimskie, jakkolwiek jeszcze niezupełnie wykończone, różnią się znacznie tak zewnętrznym wyglądem jak i wewnętrznemi urządzeniami, od innych, istniejących w monarchii, obozów barakowych.

Wybudowane na rozległej równinie, między rzeką Sołą a torem kolejowym, biegnącym w kierunku Wiednia, zajmują przestrzeń kilkunastokilometrową.

Gotowych, drewnianych baraków jest dziewięćdziesiąt, w liczbie tej mieszczą się baraki mieszkalne, szpitale, szkoła, budynki administracyjne, kantyny, kuchnie, pralnie, łazienki i zakłady dezynfekcyjne, przez które będą musieli przechodzić wszyscy, przeznaczeni do zamieszkania w barakach.

Prócz ukończonych już drewnianych budynków barakowych jest w budowie trzydzieści baraków murowanych, wśród których ma stanąć także kościół, wielki magazyn prowiantowy i obszerne zabudowania gospodarcze.

Baraki te pobudowano nie tylko z zastosowaniem najnowszych środków technicznych i wymogów hygieny, lecz także z nadaniem pewnej symetryi i ozdób, dających im nader ponętny i przyjemny wygląd.

Środkiem głównej ulicy barakowej biegnie tor kolejowy, przeprowadzony ze stacyi kolejowej. Po





Poświęcenie kaplicy w barakach oświęcimskich:

Akt poświęcenia kaplicy (X) Kierownik starostwa, p. Doschott. — Procesyonalne wprowadzenie J. E ks biskupa Sapiehy do mającej być poświęconą kaplicy.





Poświęcenie kaplicy w barakach oświęcimskich:

Powitanie J. E. księcia biskupa Sapiehy przez duchowieństwo przed kaplicą. — Poświęcenie figury Matki Boskiej.





Poświęcenie kaplicy w barakach oświęcimskich:

Uczestnicy aktu poświęcenia.

Powitanie J E księcia biskupa Sapiehy przez Zarząd i kierowników budowy, oraz tłumy robotników. (X) Komisarz Attenstaedt, kierownik Stacyi emigracyjnej.



W głębi wód morskich: Nurek, zajęty przy wydobywaniu amunicyi, konserw i t d. z zatopionych okrętów

obu stronach toru prowadzą drogi kołowe i deptaki dla pieszych, ocienione alejami drzew owocowych i ozdobnych, od tych zaś biegną osobne odnogi do kuchni, budynków szpitalnych i innych, do których dojazd jest potrzebny.

Zarząd całego obozu barakowego i kierownictwo c. k. Stacyi emigracyjnej spoczywa w ręku komisarza, p. Attenstaedta, do pomocy któremu dodane są organa policyjne i straż wojskowa.

W głębi wód morskich.

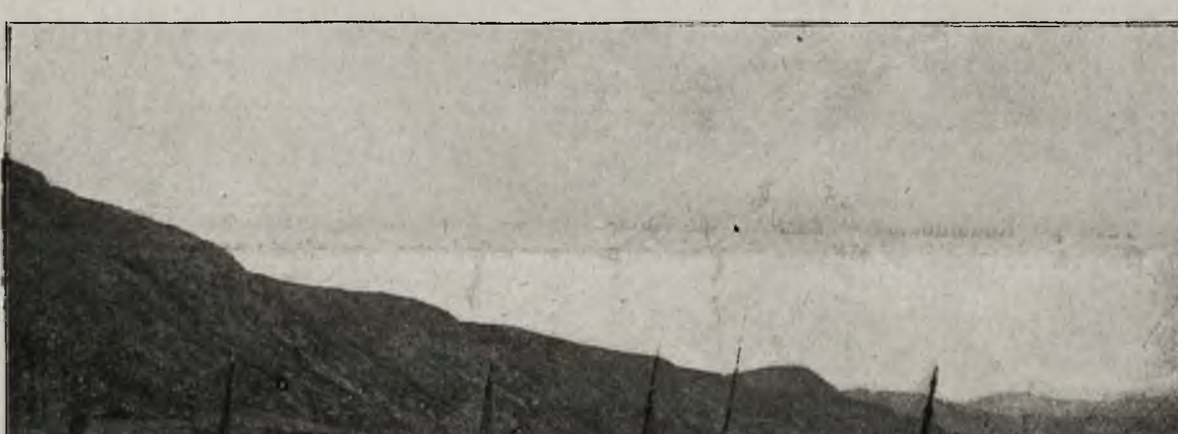
Tocząca się prawie dwa lata wojna pochłonęła już miliony istnień ludzkich i nieobliczalne wprost skarby ich pracy. Gdy na lądzie, od morderczego ognia działowego legły w gruzach wsie i miasta, na morzu znowu padły ofiarą wojny tysiące okrętów. Niepodobna dziś obliczyć, jakie skarby spoczywają dziś w otchłani wód morskich. Technicy już dziś myślą nad tem, czy nie udałoby się z tych zatopionych bogactw cośkolwiek uratować i niewątpliwie po wojnie rozpocznie się w tym kierunku gorączkowa praca. Będzie to jednak zadanie niezmiernie trudne, a w wielu wypadkach wprost niewykonalne. Zwłaszcza wydobycie olbrzymów morskich natrafi z pewnością na wielkie trudności. Wraz z okrętami poszło jednak na dno wiele drobnego a cennego materyału, jak pieniądze, amunicya i tym podobne. I te przedmioty, zatopione na miejscach płytszych, a zwłaszcza w portach, zaczęto już obecnie wydobywać przy pomocy nurków.

Z walk na morzu.

W poprzednim numerze pisaliśmy obszernie o sposobach walki na morzu i zamieściliśmy na tytułowej stronie illustracyę, przedstawiającą jeden z momentów tej walki — wyrzucenie torpedy. Nie tak wspaniale się przedstawia broń w walkach morskich, którą widzimy na fotografii, zamieszczonej w dzisiejszym numerze. A jednak to niewielkie, pływające pudło jest właśnie bronią, która w obecnej wojnie morskiej odegrała wielką rolę, sprowadzając do *minimum* znaczenie wielkich okrętów bojowych... Bo nie tylko łódź podwodna wypowiedziała im śmiertelną walkę, tępią je równie skutecznie małe pływające miny.



Z walk na morzu: Wyrzucona na brzeg morski mina.



Z walk na morzu: Zatopione podczas austryackiej ofenzywy zimowej na wodach albańskich włoskie okręty w porcie San Giovanni di Medua.



Obrazki wojenne: Jeńcy rosyjscy, zatrudnieni przy robotach w Albanii, grają w karty w chwili odpoczynku

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

14

ROZDZIAŁ XVI.

— Ładny ptaszek z tego Potyrowskiego, z tego ulubieńca cioci...

— Anielko, cóż to znowu za sposób mówienia? Jak ty się wyrażasz?! Mój Potyrowski...

— A bo ciocia zawsze go chwaliła, broniła, wyróżniała, chociaż ja od pierwszej chwili nie miałam zaufania do niego... No i pokazuje się, że miałam słuszność!

— Cóż się stało nowego?

— Niech ciocia sobie wyobrazi — opowiadała z oburzeniem Anielka — przychodzi dzisiaj do ochronki jakaś wymizerowana, nędznie ubrana kobiecina i przyprowadza dwoje dzieci: chłopca i dziewczynkę z prośbą aby je przyjąć na popołudniową naukę. Dzieciaki bardzo milutkie, ale bose, w łachmanach poprostu, chociaż porządnie umyte i uczesane, no i kaszlą brzydko. Ależ, moja kobieto — mówię jej — te dzieci trzeba ubrać, obuć, poradzić się lekarza. A skądże ja wezmę pieniędzy — odpowiada mi na to — kiedy ja mam wszystkiego czterdzieści koron pensyi po mężu, co był robotnikiem przy kolei... Jakże się z tego wyżywić i ubrać przy takiej drożyźnie w obcem mieście.

— Dlaczegóż nie zgłosiła się do jakiegoś polskiego stowarzyszenia o zapomogę! — wtrąciła pani Krystyna.

— Właśnie o to samo ją zapytałam. Nie zgadłaby cioteczka, co mi odpowiedziała. „Chciałam już dawno iść do tych pań ze św. Wincentego, bo słyszałam, że tam można dostać jakie buty, coś z ubrania i lekarstwo dla dziecka, tylko pan hrabia nie pozwalał". Jaki pan hrabia? — pytam zaniepokojona „Ano jaśnie pan hrabia Potyrowski. który się nami opiekował". Uważa ciocia, hrabia! Zaczynam wypytywać, jakiego rodzaju była ta opieka i czegóż się dowiaduję... Otóż Potyrowski, choć Bóg go tam wie, jak on się właściwie nazywa, bo mnie się zdaje, że on taki inżynier, jak i hrabia — wynajął tym biedakom jakąś wilgotną, ciemną izdebkę w suterynie i za to zrobił sobie z nich niewolników, bezpłatną służbę. Nie pozwalał biednej kobiecie szukać żadnej pomocy, bo te zdradziłoby go. Zmuszał ją zaś do posłuszeństwa groźbą, że odeśle ich do baraków, a baraków bała się Antoniowa, jak ognia. Tak więc, wyglądało owo jego opiekowanie się „biednemi robotniczemi rodzinami", na które zewsząd zbierał datki. To oszust poprostu i to bardzo szkodliwy w dodatku, bo wyzyskiwał i gnębił biednych ludzi...

— Czyż podobna! — mówiła zmieszana pani Krystyna — taki dystyngowany człowiek.

— Niestety, to prawda, ciociu! Przykre to, że wśród Polaków znalazł się taki człowiek, ale ostatecznie trzeba się z tem pogodzić, że w naszem społeczeństwie, równie jak w każdem innem, istnieją osobniki, które usiłują łowić ryby w mętnej wodzie. Na szczęście urwała się ta piękna „filantropia" „pana hrabiego", bo jak mi opowiadała Antoniowa, zaczął się przenosić do mieszkań coraz tańszych, przestał ją „wspierać" zupełnie, a nawet „pożyczał" sobie po kilka i kilkanaście koron z jej malutkiej pensyjki. Nareszcie biednej kobiecie zbrakło cierpliwości, zebrała na odwagę i przyszła z dziećmi do ochronki. Naturalnie, zajęłam się nią, dałam jej coś od siebie na najniezbędniejsze wydatki, no i posłałam ją z karteczką do pani przewodniczącej naszego stowarzyszenia.

Pani Krystyna milczała niemile dotknięta. Na Potyrowskim zależało jej już obecnie mało, ale niemniej przykrą była wiadomość, że człowiek, w którego towarzystwie znajdowała upodobanie, jest zwykłym oszustem.

Wstyd jej było przed Anielką, że tak młoda dziewczyna okazała większe znawstwo ludzi, aniżeli ona, doświadczona kobieta.

W innem też zupełnie świetle przedstawiały się komplementy, czułe niedomówienia i wymowne spojrzenia Potyrowskiego.

— Przykre to bardzo, ale trudno, omylić się można — rzekła wreszcie po dłuższej chwili milczenia — naturalnie, zerwę znajomość z tym panem... Zresztą w ostatnich czasach i tak widywałam go rzadko.

Wikcia, która zbierała właśnie talerze ze stołu, robiła to bardzo powoli, nie tracąc ani słowa z rozmowy pań.

Nie uszło to uwagi Anielki.

— Proszę, niech Wikcia — rzekła dość szorstkim tonem — zbierze prędzej talerze i idzie do kuchni!

Wikcia wzięła talerze i bez słowa wyszła z pokoju.

— Nie podoba mi się ta Wikcia — odezwała się Anielka — Po pierwsze nie budzi we mnie zaufania już dlatego choćby, że jest protegowaną Potyrowskiego, a powtóre twarz jej robi na mnie wielce niesympatyczne wrażenie... Przytem zauważyłam, że podsłuchuje nas...

— Moja droga Anielko, już temu to daj spokój... Wikcia jest bardzo dobrą służącą i nie mogę się na nią skarżyć.. Powiadasz, że podsłuchuje? Być może. A niechże sobie podsłuchuje, jeżeli jej to robi przyjemność... Specyalnych tajemnic nie mamy... Na szukanie nowej służącej nie namówisz mnie... Nie mam na to czasu.

— Wiem, wiem, — zawołała wesoło Anielka — cioteczka całą duszą oddana swoim rannym i o nich tylko myśli. Doprawdy, ciocia więcej robi, aniżeli te wszystkie „szpitalne sekcye", których jest coś trzy, a jedna zwalcza drugą... W jednej przewodniczącą jest Zerwanówna... Wyobrażam sobie, jak wyglądają prace takiej „sekcyi". Słyszałam coś o tem... Oficerowie, rozumie się młodzi i nieżonaci, otrzymują pasztety, bulliony, drogie wina i owoce, ale żaden żołnierz daru się nie doczeka.

Anielka się śmiała, a pani Krystyna z zadowoleniem spoglądała na rozweseloną twarz siostrzenicy.

— Nareszcie — pomyślała — zaczyna się otrząsać z tej nieznośnej melancholii. Tak! To wpływ Montwiłła, nic innego!

— Widziałaś się dzisiaj z panem Stanisławem? — zapytała pani Krystyna, jakby od niechcenia.

— Z panem Stanisławem? Nie! Ale wie ciocia, co mnie cieszy i w dobry humor wprawia?

— Cóż takiego?

— Moskale ustępują krok za krokiem z Galicyi. Wkrótce już nasze okolice będą wolne... Będziemy mogły wrócić do Zalesinek, do naszych kochanych Zalesinek, cioteczko! Ja żyję tylko tą myślą, tą nadzieją!

Ciotka na wzmiankę o wyjeździe zrobiła jakąś niewyraźną minę.

— No i nie będzie ci żal tej pracy twojej, którą tak polubiłaś, nie będzie ci żal... nikogo w Pradze.

— W pracy zastąpi mnie kto inny — mówiła Anielka, nakładając ciotce na talerz kompotu — zresztą wychodźcy nasi zaczną się rozjeżdżać... Naturalnie, że będzie mi przykro rozstawać się z sympatycznemi osobami, które tutaj poznałam, na przykład z panią Winnicką albo z tą ładną Józią Maliniewiczówną. ale trudno...

— A pan Stanisław? — zapytała podstępnie ciotka.

— Pan Stanisław?... O! To bardzo miły, dobry i rozumny chłopiec. Wie ciocia, on jest Królewiakiem, nieprędko więc będzie mógł powrócić w swoje strony. Zaprosimy go do Zalesinek, jeżeli zdoła uzyskać pozwolenie na wyjazd.

— Dobrze, Anielko, chociaż na razie niema o czem mówić, bo do wyjazdu jeszcze daleko. Nie wiadomo zresztą, jak będą wyglądały Zalesinki po inwazyi. Może dwór spalony lub bardzo zniszczony...

— Eh! Już ja widzę, że cioci się wcale do domu nie spieszy.

Pani Krystyna nic nie odpowiedziała.

— A do którego szpitala ciocia dzisiaj pójdzie? — zapytała znowu po chwili Anielka — Pewnie na Karlin albo na Nasle, bo tam cioteczka dawno nie była... A może tam, gdzie to, jak mi ciocia opowiadała, istna wieża Babel narodów. Leżą Czesi, Niemcy, Rusini, Węgrzy, Chorwaci, a wśród tych wszystkich jeden jedyny Polak.

— Nie! — odparła wahającym nieco tonem pani Krystyna — Pójdę do szpitala w Rudolfinum.

— Tak? Do Rudolfinum? — zdziwiła się Anielka — Toż przecie ciocia od kilku dni chodzi tam codziennie.

Pani Wolska zaczęła nerwowo mieszać łyżeczką w kompocie i wpatrzyła się w swój talerz, jakby unikając wzroku siostrzenicy.

— Mam tam chorych, których odwiedzać muszę codziennie! — odrzekła po chwili.

— Ach! To co innego! W takim razie wypada nam wspólna droga, podprowadzę cioteczkę.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Pani Krystyna wstępowała na schody szpitala w Rudolfinum z pewnem wahaniem i uczuciem nieokreślonego niepokoju.

Zapytywała sama siebie, dlaczego od tygodnia odwiedza codziennie ten szpital, w którym prawie wszyscy Polacy są już rekonwalescentami, podczas gdy gdzieindziej oczekują na nią niecierpliwie chorzy.

Dlaczego krótko bawi w innych salach, a tak chętnie i pospiesznie dąży do sali, gdzie leży chorąży Walczak, człowiek nieznany jej przecież zupełnie, o nic nie mówiącem dla niej, skromnem mieszczańskiem, czy nawet chłopskiem nazwisku?

— Żal mi go! — tłumaczyła sobie pani Krystyna — Taki młody, sympatyczny, a tak ciężko ranny... Miło mi widzieć, jak młodość i sztuka lekarska biorą górę nad niebezpieczeństwem, jak życie zwycięża śmierć...

Nie chciała się przyznać do tego sama przed sobą, że niewysłowioną przyjemność sprawia jej wdzięczne spojrzenie pięknych, wyrazistych oczu rannego, kiedy odbiera przyniesione przez nią kwiaty i owoce — nie chciała uświadomić sobie, że tęskni wprost za widokiem tej młodzieńczej twarzy, za miłym, dziwnie za serce chwytającym uśmiechem, za dźwięcznym, metalicznym, o ciepłym tonie głosem.

Walczak w ostatnich dniach czuł się lepiej, odzyskał przytomność, poznawał otaczające go osoby i nawet rzucał kiedy niekiedy po kilka słów, bo mówić więcej lekarz mu zabronił.

Pani Wolskiej okazywał wielką wdzięczność za codzienne odwiedziny i niezwykłą troskliwość.

Właśnie wczoraj ranny skarżył się, że nudno mu tak ciągle leżeć na wznak.

— Gdyby to można było przynajmniej coś przeczytać... — mówił z westchnieniem.

Pani Krystyna wzięła dzisiaj ze sobą lekką, wesołą powieść, którą postanowiła czytać głośno choremu.

— Zrobiłabym to przecież dla każdego innego chorego — wmawiała w siebie.

Początkowo zamierzała udać się naprzód do sali, w której pełniła służbę panna Rasińska, ale po chwili namyśliła się, zawróciła i poszła spiesznie do Walczaka.

Dlaczego?

O! Wieczna zagadko serca kobiecego, które zachowuje swą młodość długo, czasem zadługo...

Róże jesienne pachną nieraz silniej, aniżeli słoneczne kwiaty wiosny.

— — — — — — — — — — — — — —

Zaledwie Anielka „w kuchni" rozpaliła maszynkę gazową i zabrała się do gotowania herbaty, drzwi otwarły się z trzaskiem i ukazała się w nich Józia.

Anielka spojrzała na nią z przestrachem i zdumieniem, tak była zmieniona.

Twarz miała bladą, nabrzmiałą od płaczu, oczy zaczerwienione, podpuchnięte. Żakiet zarzuciła na bluzkę, krzywo zapiętą, czapeczkę wsunęła niedbale na włosy, rozrzucone w nieładzie, jakby wcale dnia tego nieczesane.

— Józiu, na litość Boską! Jak ty wyglądasz?! Co się stało?

Józia usiadła na krześle, ukryła twarz w dłoniach i, nie zważając na obecność kilkunastu obcych osób w sali, wybuchła głośnym płaczem.

Anielka podbiegła ku niej i usiłowała oderwać jej ręce od twarzy.

— Co się stało? Czy jakie nieszczęście?!

— Ojciec przyjechał wczoraj... — wyszlochała Józia.

— No! To chyba żadna katastrofa...

— Ach! Gdybyś wiedziała!...

— W każdym razie staraj się uspokoić, Józiu, przestań płakać... Wszyscy się patrzą...

— Wszystko mi jedno...

— Poco jednak zwracać na siebie uwagę obcych ludzi i wywoływać niepotrzebne komentarze? Napij się wody, uspokój się i opowiedz mi, o co właściwie chodzi.

Zbliżyła do ust przyjaciółki szklankę z wodą.

Józia wypiła kilka łyków wody, otarła chusteczką oczy i trochę uspokojona zaczęła opowiadać:

— Ach! Co się u nas wczoraj działo!... Ojciec przyjechał rano, wpadł do mieszkania jak burza — taki zły! Nigdy go jeszcze takim nie widziałam... Nawet nie przywitał się z nami, tylko zaraz zaczął krzyczeć na mnie najgorszemi słowami... Wołał, że jestem jego hańbą, zakałą, że mnie palcami wytykają... Byłby mnie bił, ale mnie obroniły Kazia i nasza stara, poczciwa Agnieszka... Ojciec wymówił Agnieszce służbę, chociaż ona służy u nas już przeszło lat dwadzieścia... Powiedział, że ona zawsze trzymała moją stronę... To prawda zresztą, bo Agnieszka kocha mnie bardzo. Potem ojciec kazał mi natychmiast pakować moje rzeczy! Ma mnie odwieźć na jakąś bardzo surową pensyę, gdzie będę zamknięta, jak w więzieniu... Ale ja tam nie wytrzymam! Ucieknę, gdzie mnie oczy poniosą, albo zrobię sobie coś złego!

Ostatnie słowa wymówiła z siłą, świadczącą, że może wykonać to, co zapowiada.

— Dajże spokój, Józiu — ojciec może da się uprosić, ułagodzić... ktoś pewnie naplotkował, pod-

burzył go... Wspominałaś mi przecież kiedyś o jakimś liście?

— Ach, tak! To niezawodnie ten niegodziwy list! Ktoś oczernił przed ojcem mnie i Konrada... Ojciec wołał, że wdałam się w romans z jakąś kreaturą z pod ciemnej gwiazdy, z jakimś Żarnickim, który ma jak najgorszą opinię... Z początku to ja ojcu nic nie odpowiadałam, tylko płakałam, ale jak zaczął tak obrażać Konrada, musiałam stanąć w jego obronie... Wtedy ojciec wpadł w taki wściekły gniew, że byłby mnie chyba zabił, gdybym nie była uciekła do kuchni.

— To źle! — szepnęła Anielka — Poczekaj chwilkę, Józiu... Muszę nalać i zanieść kilka herbat... Wrócę zaraz do ciebie.

— Anielko, ja muszę widzieć się z Konradem! — rzekła Józia, kiedy Anielka powróciła do niej.

— A cóż się z nim dzieje?

— Jakto, nie wiesz?! On dzisiaj staje do przeglądu wojskowego! Może go wezmą do wojska, a ojciec mnie wywiezie i nie zobaczę się z nim nawet, nie pożegnam... Ach! Boże, mój Boże! Mnie serce przecież pęknie, jeżelibym musiała wyjechać bez pożegnania się z nim...

Łzy zaczęły znowu płynąć z oczu Józi. Anielka objęła ją ramieniem.

- Nie płacz, Józiu, poradzimy coś na to. Naturalnie trzeba zawiadomić pana Żarnickiego o wszystkiem. Najlepiej będzie, jeżeli on sam pójdzie do twojego ojca...

— Ach! Nie — zawołała z przestrachem Józia — on nie może iść do ojca! Ojciec nie chciałby z nim mówić! Wczoraj krzyczał na całą kamienicę, że tego łotra, łajdaka, szubrawca, tak nazywał Konrada, zrzuci ze wszystkich schodów, gdyby się ośmielił przyjść! A Konrad taki zapalczywy, porywczy!... Napewno stałoby się coś złego, coś strasznego!... Już ja znam i ojca i Konrada... Nie! Nie, ja sama muszę się z nim widzieć!

— Ale jak to zrobić, gdzie go szukać?

— On przyjdzie tutaj na herbatę. Poczekam. Do domu wracać nie mogę teraz, bo ojciec pilnuje każdego mojego kroku. Kiedy się dzisiaj położył spać po obiedzie, uciekłam...

— Dobrze więc, Józiu, możesz poczekać. Idź jednak teraz do kuchni, niema tam w tej chwili nikogo, przemyj oczy, uczesz się, popraw ubranie, bo wygląd twój zwraca ogólną uwagę.

— Co mi na tem zależy!

— Mówisz tak w chwili rozdrażnienia, a potem będzie ci przykro. Patrz, idzie Zerwanówna. Widzisz, jak ironicznie spogląda na ciebie.

Ten ostatni argument poskutkował. Józia wstała z krzesła i zamierzała udać się do kuchni. W tej samej chwili na progu stanął Żarnicki.

Wojskowy guziczek przy jego marynarce wskazywał, że uznano go za zdolnego do służby wojskowej.

Zobaczywszy Józię tak bladą, zmienioną, zapłakaną, podbiegł ku niej, zapominając, że spoglądają na nich obce oczy.

Józia spytała prawie bez tchu:

— Co z wojskiem?

Żarnicki wskazał z wymuszonym nieco uśmiechem na swój guziczek wojskowy.

— Jestem żołnierzem! —

— Ach, Boże!

W oczach Józi ukazały się nowe łzy.

Do sali napływali coraz liczniej goście. Scena pomiędzy Józią a Żarnickim zwracała ogólną uwagę. Ten i ów zaczynał coś szeptać, uśmiechać się.

Anielka, pragnąc położyć kres tej kłopotliwej sytuacyi, pociągnęła energicznie Józię w stronę kuchni. Jednocześnie dała Żarnickiemu znak ręką, aby poszedł za nią.

— Józiu! — zawołał Żarnicki, kiedy znaleźli się sami — Co ci się stało? Płakałaś? Słyszałem, że ojciec twój przyjechał... Gniewał się na ciebie? Miałaś jakąś przykrość? Mówże!

Józia ręką sobie zasłoniła oczy.

— Nie patrz na mnie! Wiem, że jestem brzydka dzisiaj!

Ciemne oczy Żarnickiego rozświecił blask szczerego uczucia.

— Dla mnie jesteś zawsze ładna! — powiedział cicho, z jakiemś dziwnem drżeniem w głosie.

— Doprawdy?!

Spojrzeli sobie w oczy. Trwało to długą chwilę — chwilę, której się nie zapomina!

Wreszcie Józia pierwsza zaczęła:

— Ale ty jeszcze nic nie wiesz o ojcu... Słuchaj...

Opowiedziała mu wszystko szczegółowo, pomijając jednak przez delikatność obrażające epitety, jakimi radca obrzucił jego samego...

Ale i tego, co usłyszał, było dosyć. Żarnicki bladł, zieleniał, zgrzytał zębami, słuchając, w jaki sposób Maliniewicz zachował się wobec córki.

Kiedy zaś Józia powiedziała, że ojciec ją uderzył — Żarnicki poczerwieniał.

Wykrztusił z trudem:

— Idę zaraz do twojego ojca...

— Nie, Konradzie — nie zrobisz tego — to byłoby najgorsze! Ja się boję. Awantura podnieciłaby tylko gniew ojca i pogorszyła moje położenie.

— Ach! Gdyby nie to wojsko, wiedziałbym, co robić, ale tak...

— Kiedy masz się stawić?

— Za dwa tygodnie!

— O! Mój Boże, mój Boże — ty z twojem słabem zdrowiem...

— Zobaczymy, jak to będzie... Ale, co teraz robić? Ojciec wywiezie cię, nie zobaczymy się już więcej... A ty taka młoda, płocha, roztrzepana zapomnisz o mnie wkrótce, wiem, że zapomnisz!

— O nie! To chyba ty prędzej... Wszak wszyscy mówią, że z ciebie znany bałamut!...

— Dziewczyno, ty nie wiesz, czem stałaś się dla mnie!... Nie wolno ci zapomnieć...

Wzruszenie zdławiło mu głos w gardle. Nagle przesłonił ręką oczy i podszedł do okna. Zawstydził się łez, które uczuł pod powiekami.

— Konradzie!

— Józiu! Moja mała Józiu!

— — — — — — — — — — — — —

Anielka z gorącem przejęciem opowiadała o zmartwieniu Józi pani Winnickiej.

Pani Winnicka słuchała uważnie.

— Przykra rzecz! — rzekła wreszcie — Szkoda tej milutkiej małej... Słyszałam już nieraz o radcy Maliniewiczu... Podobno to egoistyczny i despotyczny człowiek, surowy dla innych, a aż nadto pobłażliwy dla siebie. Za szorstko postąpił, stanowczo za szorstko... Wprawdzie ta ładna Józia nie jest bez wad, ale to grunt dobry, choć trochę wadliwem wychowaniem spaczony.

— O! To bardzo dobra dziewczyna! Jak ona lgnie do mnie, jak ona panią lubi. Każdemu wogóle jest wdzięczna, kto jej choć trochę sympatyi okazuje...

— Otóż to właśnie... To natura impulsywna, wybuchowa, silnie uczuciowa, no i samowolna przytem... Gniewem niewiele da się z nią zrobić... Przeciwnie, podrażniona zdolna jest do najszaleńszych wybryków. Lubię tę małą, bo nawet w wadach swoich ma ją kąś słoneczność wiosny i dziewczęcy wdzięk...

— Pani doktorowa, trzeba jej pomódz koniecznie! Ona tak kocha Żarnickiego...

Pani Winnicka zamyśliła się...

— Choćby to nawet nie było prawdziwe, głębokie uczucie, ale pierwsza przelotna miłość wiosenna, to i tak trzeba starać się zrozumieć młodych... Młodzi nie zawsze mogą iść prościutko wyznaczoną drogą, nie zbaczając ani na cal... Szaleństwo, to przywilej młodości...

Pani Winnicka uśmiechnęła się tym swoim nieskończenie dobrym uśmiechem, który zdawał się przebaczać wszystkiemu i wszystkim. Uśmiechała się, jakby do jakichś dalekich wspomnień swoich.

Anielka wpatrzyła się w nią z uwielbieniem.

— Jak ta kobieta z siwiejącą głową rozumie młode serca.

— Proszę dwa kwaśne mleka i trzy chleby. — zabrzmiał w tej chwili głos jakiegoś nowego gościa.

Anielka pospieszyła na salę. Kiedy powróciła, zaczęła znowu nalegać.

— Pani zajmie się sprawą Józi, prawda?

— Cóż ja mogę poradzić?

— Tylko pani może dopomódz tej biedaczce. Ona taka zrozpaczona, bo w dodatku jeszcze Żarnicki ma iść do wojska!

— To tem bardziej komplikuje sprawę, bo w takich warunkach radca napewne nie zgodzi się na zaręczyny, choć, co prawda, to Józia jeszcze za młoda i zbyt dziecinna, aby się poważnie wiązać. Zresztą, przyznam się, że nie mam zbyt wielkiego zaufania do Żarnickiego... On ma opinię zawołanego bałamuta.

— I ja słyszałam to samo, ale zdaje mi się, że tym razem zakochał się na seryo... Ten wdzięk Józi, który i nas obie podbił, jego zawojował zupełnie.

— Trzebaby istotnie coś zrobić... Przedewszystkiem należałoby wyperswadować Maliniewiczowi, ażeby córki do żadnego internatu nie oddawał, bo na pensyonarski rygor to już u Józi stanowczo za późno. Taka natura nie da się ugiąć, a doprowadzona do ostateczności mogłaby popełnić jakieś szaleństwo, które byłoby bardzo trudne do naprawienia.

— Wie, droga pani, jak zrobimy? Pójdziemy we dwie do pana Maliniewicza, aby mu wytłumaczyć, że ten list anonimowy, który ktoś do niego z Pragi napisał, zawiera kłamstwa i oszczerstwa...

— To on otrzymał list anonimowy? — zdziwiła się pani Winnicka — Komuż znowu zawadzała ta Bogu ducha winna Józia, która nikomu nie wchodziła w drogę?

— Widocznie jednak są tacy, czy takie... — odparła Anielka, rzucając zukosa spojrzenie w stronę stołu, przy którym siedziała Zerwanówna, kokietując zawzięcie jakiegoś wielce nieletniego jeszcze młodzieńca, który zdawał się być zachwycony i olśniony tem, że zwraca na niego uwagę „dorosła“ panna

ROZDZIAŁ XVII.

— Zalesinki wolne! Zalesinki wolne! Sędziszesio pisał!... Pojedziemy do domu, do domu!

Anielka, jakby oszalała, klaskała w ręce, tańcząc z radości po pokoju.

— Anielko, proszę cię, przestań się zachowywać, jak waryatka... Lepiej przeczytaj mi głośno list Sędziszewskiego, bo nie wiemy dotychczas, co on właściwie pisze...

— Dobrze ciociu, tylko ja się tak cieszę, tak się strasznie cieszę...

Anielka wzięła list i czytała go głośno:

Wielce łaskawa Pani Dziedziczko!

Korzystam z pierwszej sposobności, aby się zapytać o zdrowie łaskawej Pani Dziedziczki i panny Anieli, oraz donieść o tem, co się dzieje w Zalesinkach.

Dwór jest cały i niezniszczony. Sprzęty niebardzo uszkodzone, bo strzegłem, jak się tylko dało. Wszystkie cenniejsze rzeczy pochowałem.

Krów pozostało zaledwie kilka, a drób wszystek zjedli Moskale...

Ziemia uprawiona i obsiana, urodzaje zapowiadają się dobrze.

Niestety jednak, tarapaty, przez które przechodziłem w ostatnim czasie, nadszarpnęły do tego stopnia moje zdrowie i nerwy, że jestem zmuszony prosić o zwolnienie mnie z obowiązków rządcy...

Skoro tylko łaskawa Pani Dziedziczka znajdzie nowego rządcę, natychmiast wyjadę do Krakowa lub Wiednia, aby się leczyć... Jestem już stary, zbyt silne wrażenia nie dla mnie.

Kłaniam się łaskawej Pani Dziedziczce i pozostaję

szczerze życzliwy i oddany

Sędziszewski.

— Biedny Sędziszesio! — westchnęła Anielka.

— Masz tobie, nowy kłopot! — zawołała ciotka — Co ja teraz pocznę?! Skąd ja tutaj w Pradze znajdę nowego rządcę?!

— W Pradze naturalnie byłoby to trudno, ale tam, na miejscu, znajdziemy kogoś. Pojedziemy jak najprędzej do Zalesinek!

— Nie! Do Zalesinek nie pojedziemy teraz — oświadczyła pani Krystyna z taką energią i stanowczością, że Anielka spojrzała na ciotkę zdumiona i przestraszona.

— Dlaczego, ciociu?

— Tam w okolicy panują napewne jakieś zaraźliwe choroby i niedorzecznością byłoby wracać tak spiesznie.

— Ależ, gdyby tak było, Sędziszewski byłby coś o tem napisał!

— Ach, co tam Sędziszewski wie! We dworze braknie napewne teraz najprymitywniejszych wygód, więc poco się spieszyć... Dlatego, że ty masz jakieś fantazye i powtarzasz ciągle: Zalesinki, Zalesinki. Zalesinki nie ucieknę.

W głosie pani Krystyny brzmiało takie dziwne rozdrażnienie, że Anielka zaprzestała opozycyi.

Zrozumiała, że ciotka z Pragi nie chce wyjechać obecnie i nie wyjedzie.

Wikcia nakrywała do stołu — ustawiała i przestawiała nakrycia, ciągle zabierała coś do kuchni i znowu przynosiła, aby usprawiedliwić swoją obecność w pokoju.

— Siadajmy do stołu — rzekła pani Krystyna — i tak dzisiaj spóźniony ten obiad.

(Dalszy ciąg nastąpi).





Marsz przez piaski wołyńskie wśród tumanów kurzu. **Szósty pułk Legionów w polu:** Odpoczynek w lesie.

Szósty pułk Legionów w polu.

Ofenzywa rosyjska, jaka w początkach czerwca wstrząsnęła frontem wołyńskim, nie naruszyła zupełnie linii, bronionej przez trzecią brygadę Legionów polskich. Wszystkie ataki rosyjskie — skierowane na ten odcinek, zostały odparte, jakkolwiek były bardzo gwałtowne i ciężkie. Szósty pułk piechoty nie ograniczył się tylko do odparcia ataków, ale sam wykonał dwa udałe wypady w stronę okopów rosyjskich, przepędził Moskali z ich wysuniętych stanowisk i zniszczył okopy rosyjskie.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze illustracye przedstawiają linię tyralierską Szóstaków, posuwającą się ku wrogowi, osiągnięte i zniszczone okopy rosyjskie, żołnierza czerpiącego wodę ze źródełka na przedpolu oraz cały szereg zdjęć z linii bojowej i z pasu „neutralnego", położonego między okopami Szóstaków i linią bojową.

Kiedy wypady szóstego pułku osiągnęły swój



Szósty pułk Legionów w polu: Karabin maszynowy, umieszczony wewnątrz okopów.

cel — zapanował na tym odcinku z powrotem cały spokój walki okopowej. Życie pułkowe, podniecone silnie w pierwszym i drugim tygodniu czerwca — powróciło znowu w swe dawne łożysko i toczy się starym szlakiem. Ta cisza i wygoda życia okopowego uwydatnia się doskonale na fotografiach, przedstawiających gospodarstwo domowe Szóstaków. Krowy, źrebięta, kury, psy, żółwie — nawet wołyńska kania — wszystko składa się na miłą sielankę, która byłaby pełną willegiaturą, gdyby nie... wojna.

Udogodnienie, jakie posiada szósty pułk w kolejce polowej, dochodzącej aż do siedziby komendy pułkowej, znalazło w illustracyach swój wyraz. — Kolejka dowozi wszelką żywność w pobliże linii bojowej, tak, że ułatwione zadanie — mają treny.

Jaki duch i zapał panuje w szóstym pułku Legionów, tego najlepszym dowodem okoliczność, iż według wykazów urzędowych do dnia 31 marca bieżącego roku czwarty i szósty pułk otrzymały razem siedmset siedmdziesiąt cztery medale waleczności (w tej liczbie sto pięćdziesiąt złotych) i czternaście niemieckich żelaznych krzyżów, nie licząc listów pochwalnych i innych zasłużonych odznaczeń.



Szósty pułk Legionów w polu: Zajęte przez patrol szóstego p. p. i zniszczone okopy rosyjskie.



Szósty pułk Legionów w polu: Ostrzeliwanie rosyjskiego samolotu przez Szóstaków.

A szósty pułk to formacya nowa. W początkach września ubiegłego roku pożegnał Piotrków uroczyście wyruszających w pole „Szóstaków", a warszawskie panie nadesłały z tej okazyi chorągiew pułkową dla „najmłodszych polskich żołnierzy". Dziś, po przeszło





Szósty pułk Legionów w polu:
Orkiestra pułkowa gra na pozycyi aryę kurantową ze „Strasznego Dworu". Zburzona przez Szóstaków ziemianka rosyjska.

półrocznych trudach i mozołach, są to już starzy, choć nie posiwiali, ale zahartowani w bojach żołnierze, a chorągiew pułkowa okryła się już nieraz sławą, która przejdzie do historyi. Cały szereg morderczych walk z Moskalami i iście gigantycznych zmagań się na bagnistych obszarach Polesia i Wołynia mają za sobą „Szóstacy". Wielu z nich śmiercią na polu chwały przypieczętowało swą służbę dla Ojczyzny, a pamiątką po nich zostały tylko brzozowe krzyże, rozsiane wzdłuż dróg, któremi przeciągał szósty pułk, a znaczące miejsca wiecznego spoczynku młodych bohaterów.

Pierwsza serya odznaczeń za bezprzykładne wprost męstwo przyznaną została szóstemu pułkowi przez naczelną komendę armii za walki z końca września i początku listopada ubiegłego roku, wiec w niespełna miesiąc po wyruszeniu z miejsca formacyi. Szóstemu pułkowi przypadło wówczas przeszło sześćdziesiąt odznaczeń za waleczność, a uroczyste ich wręczenie nastąpiło w dniu 25 lutego bieżącego roku. Wielu z odznaczonych brakowało, gdyż życie swe złożyli w ofierze na ołtarzu świętej sprawy, wielu leczyło się w szpitalach z ran i chorób, tylko dwudziestu pięciu z nich ustawiło się w ordynku przed kwaterą pułkową w tym dniu uroczystym. Naprzeciw zajęła miejsce honorowa kompania ze sztandarem i muzyką pułkową.

Pierwszy przybył komendant brygady, w chwilę po nim naczelny wódz Legionów, jenerał Puchalski, w towarzystwie szefa sztabu, kapitana Zagórskiego.

Po odebraniu przepisanego raportu przemówił jenerał Puchalski w podniosłych słowach do odznaczonych, zaznaczając, że czuje się dumnym i szczęśliwym, iż może ozdobić piersi polskich żołnierzy honorowemi odznakami, które mają być nie tylko nagrodą za czyny bohaterskie już spełnione, ale także zachętą na przyszłość tak dla samych odznaczonych, jak i dla ich kolegów, by dalej kroczyli tą drogą.

Po przemowie komendant Legionów własnoręcznie przypiął do piersi każdego z dekorowanych honorową odznakę i uścisnął serdecznie dłoń każdego.

Przy dźwiękach muzyki pułkowej odbyła się następnie defilada przed jenerałem Puchalskim i odznaczonymi, poczem Legioniści odmaszerowali na swoje stanowiska, korpus oficerski zaś udał się na



Szósty pułk Legionów w polu: Kuchnie polowe wyjeżdżają na pozycye.







Szósty pułk Legionów w polu:

Ulubieńcy pułku, psy „Cygan", „Rek" i „Leda".

Żółw, hodowany przez lekarza pułkowego, Dra Stopczańskiego.

Źrebięta „Stasio" chorążego Fonferki i „Żanetka" chorążego Jankowskiego.

skromne żołnierskie śniadanie, w czasie którego jenerał Puchalski wzniósł toast na cześć szóstego pułku, a odpowiedział mu w serdecznych słowach major Galica.

Taka sama uroczystość wspólnie z czwartym pułkiem piechoty i czwartą baterią Legionów odbyła się w dniu 22-go marca, również na pozycyi, wśród prawie dziewiczego lasu. — Dzień był pochmurny i deszczowy, pogodne natomiast usposobienie tych, którzy się zgromadzili.



Szósty pułk Legionów w polu: Droga wzdłuż linii bojowej



Szósty pułk Legionów w polu: Patrol w tyralierce posuwa się ku pozycyom rosyjskim

Po przybyciu na miejsce honorowej kompanii Legionów z muzyką utworzono czworobok, którego jedną ścianę tworzyli odznaczeni w liczbie dwudziestu sześciu, między nimi dwu oficerów. Tak, jak i poprzednio, wręczenia odznak honorowych dopełnił komendant naczelny Legionów, na którego powitanie odegrała orkiestra pułkowa marsza Dąbrowskiego.

A tego rodzaju uroczystości święcił pułk szósty więcej, wszystkie zaś odbywały się przy huku dział, dochodzącym z niedalekiej linii bojowej. Pozostaną one miłem wspomnieniem dla każdego z uczestników, w szczególności zaś dla odznaczonych, powinny też znaleźć oddźwięk i w polskiej prasie dla wiadomości potomnych, jak dzielnie w tych przełomowych czasach stawały Legiony w obronie naszego honoru narodowego.

Praca nie hańbi...

„Praca nie hańbi, lecz uszlachetnia". Pod tą piękną dewizą założyło Biuro pośrednictwa pracy, znajdujące się przy Komendzie okręgowej w Piotrkowie, fabrykę koszów, używanych do najrozmaitszych celów, by w ten sposób dać możność zarobku biednej ludności, cierpiącej nędzę w czasie wojennym w daleko wyższym stopniu, niż przedtem. Ludność, wdzięczna inicyatorom, garnie się chętnie do pracy, która jest wcale popłatua, a zbytnio nie natężająca, tak że mogą się nią zajmować nie tylko ludzie dojrzali, ale i młodzi, a także i kobiety.

Zasługa zorganizowania tej gałęzi pracy, dotąd tutaj prawię nieznanej, przypada chorążemu, drowi Tomaszewskiemu, gorliwą opieką otacza instytucyę kapitan Szamota.

Na kosze zaś, zwłaszcza teraz w czasie wojennym, jest wielkie zapotrzebowanie, używa się ich bowiem w ogromnej liczbie przy różnych budowach ziemnych, n. p. sypaniu szańców. A i później, gdy wojna już się skończy, nowa gałąź przemysłu stanowić powinna pokaźną rubrykę w dochodach okolicy, której nie braknie ani materyału surowego, ani chętnych rąk do pracy.

Inicyatorzy bardzo dobrze uczynili, kierując się zasadą: „Praca nie hańbi, lecz uszlachetnia", zachęcają bowiem i sfery intelligentniejsze do jęcia się pracy fizycznej, na brak której niejeden narzeka. Chwyciłby się jej może, „ale go wstyd"... bo przecież nie wypada, aby surdutowiec miał się zniżać do







Szósty pułk Legionów w polu:

„Krasula" podpułkownika Norwida, żywicielka pułku

Schwytana przez Legionistów młoda kania.

„Sztabowa" kura, własność komendy pułku.



„Praca nie hańbi": Uczestnicy kursu koszykarskiego w Piotrkowie. W pośrodku kapitan Szamota.

roli zwykłego robotnika. Ale trudno! Wojna ludzi zrównała i zatarła różnice kastowe, a jeśli propaganda w tym kierunku pójdzie dalej pod tem właśnie



Pałac biskupów włocławskich w Wolborzu od strony ogrodu.



Zniszczony zabytek historyczny: Pałac biskupów włocławskich w Wolborzu pod Piotrkowem. Front budynku

hasłem, jakie obrało sobie piotrkowskie Biuro pośrednictwa pracy, możemy być pewni lepszej przyszłości. Ile dziś niejeden intelligent, przymierający głodem, dałby za to, gdyby go dawniej nauczono pracy i potrafiono przekonać, że ona „nie hańbi, ale uszlachetnia".

Zniszczony zabytek historyczny.

Ofiarą wojny, która od dwu lat toczy się przeważnie na ziemiach polskich, padło mnóstwo bardzo cennych zabytków historycznych. Strata to wprost niepowetowana, społeczeństwo nasze musi się przecież z nią pogodzić, bo i wojna ma swoje prawa... Z wielu wspaniałych świątyń, zamków i pałaców, które ongi zadziwiały cały świat, a i w ostatnich jeszcze czasach były świadectwem lepszej przeszłości, tymi historycznymi strzępami z niegdyś kosztownego okrycia, pozostały dziś tylko gruzy i ryciny, przedstawiające, jak one przed wojną wyglądały.

Do ich rzędu zaliczyć należy także i pałac biskupów kujawskich w Wolborzu, miasteczku liczącem niespełna trzy tysiące mieszkańców, a leżącem w powiecie piotrkowskim nad rzeką Wolborką. — Wedle stylu należał on do najpiękniejszych zabytków renesansu z doby jego najświetniejszego rozkwitu.

Według zapisków historycznych już w roku 1065 był Wolborz stolicą kasztelanii i posiadał zamek, który w roku 1268 Ziemomysł, książę kujawski i sieradzki, nadał wraz z kasztelanią po wieczne czasy jako wyposażenie biskupom włocławskim.

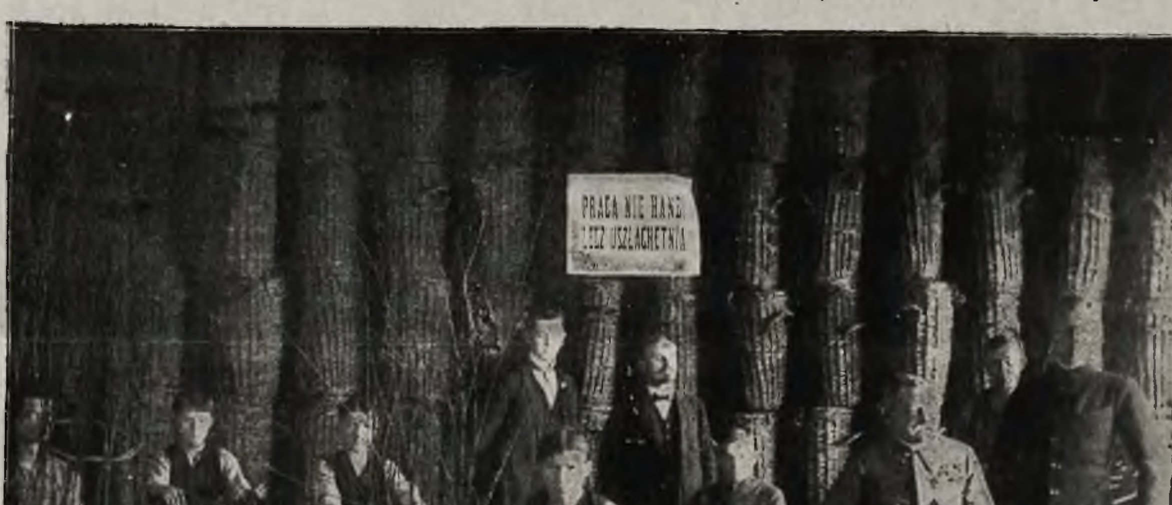
Z zamkiem tym łączą się też i rozmaite historyczne wspomnienia. Władysław Jagiełło, ciągnąc w roku 1410 na wojnę z Zakonem krzyżackim, bawił tutaj przez trzy dni, oczekując na gromadzące się wojsko, odbywając jego przeglądy i naradzając się ze starszyzną. W dziesięć lat po tem do tego samego króla, przebywającego tutaj po zjeździe w Łęczycy, przybyli posłowie czescy, ofiarując mu koronę krajów świętego Wacława.

Tutaj bawił także jakiś czas w roku 1605 król Jan Kazimierz, szukając schronienia przed następującemi wojskami szwedzkiemi. I ostatni z królów polskich, Stanisław August Poniatowski, odwiedził w czerwcu roku 1775 Wolborz, gdzie go przez cztery dni gościł biskup Antoni Ostrowski.

Wspaniały niegdyś zamek, a raczej pałac biskupi, z którego dziś sterczą tylko ruiny i zgliszcza, jako wspomnienie dawnej świetności, wystawił około roku 1626 biskup włocławski, Józef Lipski i założył przy nim obszerny zwierzyniec. — Później ozdobił go, rozszerzył i odnowił biskup Antoni Ostrowski.

Z chwilą przejścia miasta na własność skarbową, rząd rosyjski, który z wielką przyjemnością niszczył wszelkie pomniki europejskiej kultury, drażniącej azyatycki smak artystyczny najeźdźców, w oficynach pałacu urządził koszary dla wojska, wobec czego uczynił niemożliwem mieszkanie tutaj biskupom włocławskim, nie pragnącym wcale tak miłego sąsiedztwa. Niszczał więc i sam pałac, niszczały oficyny. Do ostatnich prawie czasów ogół budynków trzymał się jeszcze jako tako, choć szczegóły były już bardzo uszkodzone, o konserwacyi bowiem zabytków nikt nie myślał.

Ze względu na to, że biskupi kujawscy główną swą rezydencyę mieli ongiś w Wolborzu, założyli też w tem mieście kolegiatę, która dotrwała do naszych czasów i służy dziś jako kościół parafialny, nie odznacza się przecież niczem, godnem szczególniejszej wzmianki.



„Praca nie hańbi": Wyrób koszów, zorganizowany przez Biuro pośrednictwa pracy przy Komendzie okręgowej w Piotrkowie.

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

9

Bernac, podtrzymując ciągle rozmowę ze starym, kilkakrotnem badawczem spojrzeniem objął salę. — Wystarczyło mu zupełnie do wyrobienia sobie zdania co do rodzaju prac Włodzimierza Guzowa. Zdał sobie łatwo sprawę, że nic w wewnętrznem urządzeniu i kształcie aparatów nie odnosiło się do aktualnie używanych metod, zastosowanych przy badaniu radyum. Zapewne młody uczony mógł je zmienić, ulepszyć lub ograniczyć, lecz nie w tak radykalnych formach objawowych.

Te rozmyślania pogrążyły go w tak głębokie milczenie, że zwróciło to uwagę starego robotnika, zdziwionego, że nie otrzymuje na swoje słowa żadnej odpowiedzi.

Czas jakiś również trwał w milczeniu, ale widząc, że przegląd pracowni przedłuża się, pociągnął Bernaca dyskretnie za rękaw.

— Zamyśliłem się, patrząc na te aparaty, bo i ja niegdyś byłem inżynierem i pracowałem w tym kierunku. Ale powiedz mi, mój przyjacielu — dodał, kładąc rękę na ramieniu starego — w przypuszczeniu, jeżeli pan inżynier nie wróci, nie będziesz tu do nieskończoności przecież czekał na niego — nieprawdaż?

— Otóż, mój panie, nie wiem jeszcze, co zrobię. Bo, widzi pan, ja czekam na pewne wiadomości od mojego kolegi, Chavarsa, który tu pracował jako elektrotechnik. Był tu kiedyś u mnie i powiedział mi, że oddalenie się pana inżyniera wkrótce się wyjaśni. Bo musi pan jeszcze wiedzieć, że przybyliśmy tutaj zawezwani jedynie przez pana Guzowa, którego nie znaliśmy przedtem. Przypuszczaliśmy, że pan inżynier informował się o nas tam, gdzieśmy przedtem byli zajęci. A właśnie ten Chavars przed zaangażowaniem się tutaj zajęty był przez kilka lat u pana Boursiers, fabrykanta masztów okrętowych w Belleville. Opuścił go, bo pan Boursiers zwinął fabrykę. A że ten mój kolega to sprytny bardzo chłopiec, więc przypuszczał, że pan inżynier musiał być w stosunkach zażyłości z dawnym jego pryncypałem i udał się do niego z zapytaniem o pana inżyniera.

— No i co powiedział ten pan Boursiers?

— Powiedział mu, że jeden z jego przyjaciół, bankier, pan Versigny, zdaje mi się, ten, o którym tyle pisały gazety, bo zniknął także nagle z Paryża — prosił go o wskazanie mu dobrego elektrotechnika, dla jednego ze swoich znajomych.

— Versigny? Bankier Versigny? Czy jesteście pewni, że to chodziło o tego pana?

— Tak jest, z wszelką pewnością przypominam sobie teraz dobrze to nazwisko.

— Więc cóż zrobił ten wasz kolega?

— Pan Boursiers dał mu adres tego bankiera. Więc albo on poszedł tam, albo pojedzie w najbliższym czasie dowiedzieć się cokolwiek od urzędników, albo rodziny.

Słysząc te słowa Bernac doznał silnego uczucia tryumfu i zadowolenia.

Przeczucia więc nie omyliły go! Tak, jak przewidział i jak mówił do pana Cambaux i Michaliny, w sprawie tak skomplikowanej nie mógł istnieć tylko przypadek sam, lecz rozliczne rozgałęzienia przyczyn i faktów pewnych!

Jeżeli elektrotechnik Chavars zjawi się w biurach przy ulicy Pillet-Will, przyjmie go zaufany i oddany Versigny'emu pan Delong i uwiadomi go natychmiast o tych odwiedzinach.

I wtedy nazwisko Włodzimierza Guzowa będzie musiało jawnie wystąpić w rozmowie. A ponieważ to nazwisko figurowało na rejestrze gości — dojdę przez niego łatwo do laboratoryum w Saint-Oven i tam odkryte zostaną tajemnicze prace młodego Rosyanina i łączność jego z bankierem Versigny.

Silnie podniecony tą nową dobrą wiadomością Bernac pożegnał starego robotnika, zapewniając go, że uwiadomi go z pewnością, jak tylko dowie się czegoś pewnego o młodym inżynierze.

Jednakże jeszcze przed odejściem — bo tajemnicza postać czcigodnego ojca Nataniela Bodminster nie dawała mu spokoju — zwrócił się raz jeszcze do robotnika z zapytaniem:

— Czy w ostatnich dniach pytał się kto o pana inżyniera? Czy zasięgano tu jakich wiadomości?

— Zdaje mi się, że oprócz pana był tu tylko wysoki jakiś jegomość.

— Jak on wyglądał?

— Przysiągłbym, że to był Anglik, bo mówił śmiesznym, twardym akcentem. Twarz miał bladą, bez zarostu. Mówił, że chce obejrzeć fabrykę, bo słyszał, że jest do sprzedania, albo do wydzierżawienia. Nawet mnie to zdziwiło, bo nie słyszałem o czemś podobnem. Chciał tu założyć jakąś inną fabrykę i przyszedł zobaczyć, czy urządzenie może mu się na co przydać.

— I cóżeście mu odpowiedzieli?

— Odpowiedziałem mu, że fabryka nie jest ani do sprzedania, ani do wydzierżawienia, bo nie otrzymałem od nikogo żadnych instrukcyi w tym względzie i że czekam na powrót pana inżyniera i nie mogę pokazywać fabryki obcym ludziom.

— Więc on nie widział fabryki?

— Nie, mój panie, chociaż miał do tego wielką ochotę. Nawet dał mi dziesięć franków w złocie, żeby mnie skusić. Te Angliki, toby samego pana Boga przekupić chcieli!

— Cóżeście więc z nim zrobili?

— Ano, pokazałem mu to, co każdy mógł widzieć. To co jest na wierzchu — odpowiedział naiwnie stary robotnik. — To nikomu zaszkodzić nie mogło — maszyny, transformatory, piece — ale do laboratoryum pana inżyniera to go nie wpuściłem. A zresztą to było jeszcze przed pożarem i wszystko dobrze było na kłódki zamknięte!

Po opuszczeniu fabryki w Saint-Oven, Bernac podążył do swojego automobilu, oczekującego na niego w bocznej ulicy i powrócił do Paryża, do swojego mieszkania.

Czuł potrzebę samotności i skupienia myśli. Zazwyczaj w ważniejszych chwilach życia lubił odosobnić się od wszystkiego na parę godzin, by swobodnie rozważyć, poklasyfikować wrażenia i ustanowić plan dalszej kampanii. Czuł również zadowolenie żywe, że teraz będzie mógł stanąć przed Michaliną i donieść jej coś realniejszego o zabiegach swoich poszukiwań. Na myśl o młodej dziewczynie dziwne uczucie tęsknoty go ogarnęło. Nie przypuszczał nawet, jak bliską się mu stała w tych dniach ostatnich, pozwalających na większe zbliżenie.

Marzył, teraz o chwili, w której powróci jej ojca, bo ani na chwilę nie wątpił, że Versigny żyje gdzieś, ukryty przez swoich nieprzyjaciół i ujrzy gorącą radość i szczęście na jej twarzy. Ta nagroda była dostateczną za dotychczasowe trudy i starania, a myśl o innej, która uporczywie powracała ciągle — odpędzał rozmyślnie, nie chcąc osłabiać energii i woli wzruszeniem oczekiwania.

— Niech nasamprzód ujrzę Versigny'ego przy jej boku — myślał — i niech w spokoju i radości sama rozpozna właściwe uczucia. Teraz nie pora na niepokojenie jej egoistycznemi własnemi uczuciami i pragnieniem.

Ale, pomimo zamiaru dłuższego rozpatrzenia sprawy w samotności, Bernac nie mógł tego dokonać.

Zaledwie ukazał się w swojem mieszkaniu, oddano mu telegram, nadeszły z Anglii. Pochodził on od Clemsona i długi był i zawierał szczególne wiadomości, które wpłynąć miały na bieg jego myśli i rozważań.

W odpowiedzi na zapytanie, kim był właściwie ów tajemniczy Nataniel Bodminster, uchodzący za księdza, Clemson donosił, że w całem miasteczku Seeds nie znano człowieka o tem nazwisku i odpowiadającego przesłanemu opisowi. Jednakże angielski detektyw, którego pamięć była nadzwyczajna, uderzony został, czytając list Bernaca, w którym poświęcał więcej miejsca drobiazgowemu określeniu owego Nataniela Bodminster, dziwnem przypomnieniem.

Twarz tajemniczego pastora, a przedewszystkiem postawa jego barczysta i rozrosła, nasunęła mu wspomnienie pewnego niepochwytnego ptaszka, który lat temu dziesięć w Chelesca zamordował i ograbił małżonków Peark, rentierów, przy których siostra jego pełniła funkcyę damy do towarzystwa.

Siostra ta, bardzo piękna osoba, liczyła wówczas lat trzydzieści dwa lub pięć i odznaczała się wspaniałymi rudymi włosami. Nosiła nazwisko Edyty Brown, brat jej zaś znanym był pod imieniem Winifreda.

— Dama do towarzystwa! — szepnął Bernac, odczytując gorączkowo depeszę — Nie chcę się zadaleko posuwać w przypuszczeniach moich, ale teraz przeczuwam, że czcigodny ojciec Nataniel miał wspólników w samym Paryżu!

Po chwili zastanowienia powrócił do przerwanego czytania.

Clemson donosił ponadto o rezultacie śledztwa jego, tyczącego się osoby sir Archibalda Graves. Twierdził z całą stanowczością, że wszyscy wspólnicy angielscy „Brylantowego Trustu“, jakoto Love Barker, Harold Hitzimmons, lord Visconsin i Wynniard, nie byli poinformowani przez Archibalda Graves, o uplanowanym jego zamiarze względem bankiera Versigny'ego i ukryciu go.

Nie dziwiono się nawet wcale w Anglii, że „król Trustu“ działał na własną rękę, bez porozumienia się poprzedniego ze wspólnikami. Sir Archibald Graves znanym był despotą. Narzucał bezwzględnie każdemu wolę swoją, sam prowadził sprawy banku i dowolnie angażował kapitały, jak i kiedy uznał to za stosowne. I w tym wypadku nie byłby dopuścił nikogo do tajemnicy, tak pewnym był zawsze wygranej.

Urzędnicy administracyi wypełniali tylko ślepo jego rozkazy, utrzymywali bilans ksiąg rachunkowych i nie mieszali się wcale do jego planów.

Nagła śmierć sir Archibalda Graves wywołała tylko popłoch pośród nich. Nie umieli sobie wytłumaczyć tego tajemniczego i niezwykłego morderstwa. Ogłosili oficyalnie nagrodę, wynoszącą dziesięć tysięcy funtów sterlingów temu, który dostarczy jakich wyjaśnień w tym względzie.

Clemson wiedział ponadto z pewnego źródła, że równocześnie „Trust“ wysłał na wszystkie części świata kilkudziesięciu detektywów, obarczonych misyą śledzenia mordercy.

Ponadto, wraz z sir Archibaldem Graves, w tym samym czasie prawie znikły z horyzontu dwie osoby z jego najbliższego otoczenia, z któremi od lat kilku nie rozłączał się nigdy i których pomocą się posługiwał w interesach swoich.

Jedną osobą był Bob, kamerdyner, nizki i gruby człowieczek o jasnych włosach, były bokser znakomity, drugą zaś sekretarz prywatny angielskiego milionera, Johmy Vills. Ten mógł mieć lat około czterdziestu, siwiejący już trochę, silnej budowy ciała, nosił okulary i miał szramę poprzeczną na czole.

Clemson nie wątpił, że dwie te osobistości towarzyszyły sir Archibaldowi Graves do Francyi i pomocne mu były w wykonaniu zamachu na bankiera Versigny'ego.

Michalina decyduje się mówić.

Nazajutrz wieczorem w gabinecie Bernaca znajdowała się zawezwana przez niego Michalina i szef policyi, pan Cambaux. Młoda dziewczyna zdziwiona została, wyrażoną przez telefon propozycyą Bernaca, aby przybyła do jego mieszkania, lecz bez słowa opozycyi udała się tam, nie zawiadomiwszy nawet miss Hopkins.

— Nie mogę mówić z panią w jej mieszkaniu. — objaśnił tylko Bernac — U mnie będziemy swobodniejsi.

Michalina więc już od pół godziny siedziała przy biurku w gabinecie Bernaca, słuchając chciwie opowiadania jego, ze spojrzeniem, utopionem w jego twarzy.

Kiedy, po chronologicznem zestawieniu wszystkich faktów, doszedł do dochodzeń, poczynionych w Anglii przez Clemsona, słowa jego wywarły na młodej dziewczynie silne wrażenie.

— Powiada pan, panie Bernac, że ta kobieta... ta siostra tego Browna, miała duże, rude włosy? — zapytała z przerażeniem w oczach, blednąc silnie.

— Tak. Donosi mi o tym szczególe mój przyjaciel, Clemson. Lecz co pani jest, panno Michalino? Wydaje mi się pani być cierpiąca... Twarz pani tak się zmieniła...

— To nic, to nic — wyszeptała z trudem młoda dziewczyna, przesuwając ręką po czole — Jestem rozstrojona temi wszystkiemi wiadomościami. Niech pan nie zwraca uwagi na mnie i mówi dalej.

— A miałem panią za tak dzielną istotę — uśmiechnął się Bernac, nie domyślając się powodu zmieszania Michaliny.

Powrócił na swoje miejsce i dalej mówić zaczął.

Młoda dziewczyna, wsparta o poręcz fotelu, słuchała go znowu z natężoną uwagą. ale z oczu jej nie zniknął już wyraz przerażenia i grozy, wywołany pierwotnie. Bernac kilkakrotnie objął ją niespokojnem spojrzeniem, ale, nie widząc w niej żadnej większej zmiany, wyłuszczał dalej swoją sprawę, sam lekko wzruszony treścią swoich słów.

— Oto, do jakiego doszedłem wniosku — mówił — Powodem tych wszystkich smutnych wydarzeń jest odkrycie jakieś, jakiego dokonał ów młody Rosyanin, Włodzimierz Guzow. Trzy miesiące temu był kilkakrotnie u pana Versigny, w banku przy ulicy Pillet-Vill, poczem już się tam więcej nie pokazał. Ale pomimo to pan Versigny nie traci go z oczu i interesuje się nim dalej, na co mamy dowody jawne. Przyszedł do niego parę razy do pensyonatu „Europa“. Proszę zauważyć również, że robotnik Chavars, ten elektrotechnik, dostał się do laboratoryum Włodzimierza Guzowa przez pośrednictwo ojca panny Mi-

chaliny. Jest to jasny dowód, że pan Versigny współdziałał w pracach doświadczalnych wynalazcy. Ponadto laboratoryum w Saint-Oven nie istniało przedtem wcale. Zostało prowizorycznie urządzone po za warciu znajomości pana Versigny'ego z młodym Rosyaninem i pochłonęło dosyć znaczny kapitał. Pozatem pan Versigny — nie miałem jeszcze czasu sprawdzić tego, ale stanie się to wkrótce — musiał tam pojawiać się pod przybranem nazwiskiem, bo nikt, nawet pan Delong nie wie nic o nowych jego przedsięwzięciach finansowych. Wkońcu rezultat prac, prowadzonych w Saint-Oven, musiał być od pierwszej chwili zadowalniającym, bo sama pani zauważyła, panno Michalino, że zanim ojciec pani popadł w zdenerwowanie, które tłumaczę sobie zniknięciem nagłem jego protegowanego, usposobienie jego było równe, nawet pogodne.

— Tak, ojciec wydawał się zupełnie zadowolonym i szczęśliwym — potwierdziła Michalina.

— Musimy zatem znajdować się wobec odkrycia wielkiej ważności, zważywszy tajemnicę, jaką otoczył się pan Versigny, który najwidoczniej obawiał się, aby nieostrożność jaka, lub rozgłos przedwczesny nie zaszkodził całej sprawie.

— Ale przeciw komu ta ostrożność mogła być wzniesiona? — zapytała młoda dziewczyna.

— Logicznie biorąc, przeciw sir Archibaldowi Graves, przeciwnikowi zdeklarowanemu ojca pani. Wiem to od niego samego. Pan Versigny musiał być na wszystko przygotowany z jego strony. Otóż sir Archibald Graves, król dyamentów i potentat finansowy, jest właścicielem wielkich kopalń w Afryce południowej, skąd czerpie najcenniejsze minerały. Wszystkie te okoliczności, jak również osobiste moje przekonania i spostrzeżenia, poczynione w laboratoryum w Saint Oven, którego urządzenie wcale nie jest zwyczajne i potrzebne do badań nad radyum, jak pierwotnie przypuszczałem, każą mi wnioskować, że Włodzimierz Guzow pracował nad wynalezieniem sztucznego dyamentu.

— To wspaniałe! Naprawdę wspaniałe! — zawołał zdumiony pan Cambaux.

A Michalina utopiła w twarzy Bernaca spojrzenie, w którem objawiały się różnorodne uczucia, jakgdyby zahypnotyzowana jego ostatniemi słowami.

— Panie Bernac! — wyszeptała po chwili — To naprawdę coś wspaniałego. Nie wiem, co się ze mną dzieje! Zdaje mi się, że śnię! To wszystko jest takie dziwne i tak okropne zarazem!

— Nie będzie okropnem — odparł Bernac — jak w niedługim czasie sam pan Versigny opowie nam o tem odkryciu...

— Boże mój! Kiedyż ta chwila nadejdzie! — zawołała z wybuchem Michalina.

— Zbliżamy się już do niej, kochane dziecko. Cierpliwości tylko trochę i odwagi.

Wyczerpany i wzruszony silnie Bernac zapalił papierosa i odpoczął chwilę.

— No, to teraz sprawa cała wyjaśnia się doskonale! — zauważył pan Cambaux.

— W części! — potwierdził Bernac — Mamy braki różne w ciągłości wydarzeń, ale wypełnimy je także. Ale same fakta już nie mogą być pokryte tajemnicą. Wiemy doskonale, co było motywem zniknięcia pana Versigny.

Archibald Graves przejął tajemnicę odkrycia. Zjednoczył się z baronem de Lambriere i działać zaczął podstępnie. O baronie wiemy, że był już zupełnie zrujnowany i zdecydowany na wszystko. W całej tej sprawie musiał grać rolę szpiega i prowokatora.

Archibald Graves i jego pomocnicy postarali się o usunięcie Jeroma Versigny, jednego z posiadaczy sekretu, a Lambriere musiał mieć powody do przypuszczenia, iż w kasie wertheimowskiej pana Versigny znajdują się dokumenty wielkiej ważności dla nich. Postawił wszystko na ostatnią kartę, wszedł do banku i przedstawił się jako prawdziwy Versigny. Otworzył kasę, znalazł, czego szukał, następnie ulotnił się, odsunąwszy zręcznie poprzednio woźnego. Poczem udał się na spotkanie z sir Archibaldem Graves. Ale tutaj nasuwa się bardzo ważne pytanie: czy on jest mordercą finansisty angielskiego?

— Właśnie — przerwał pan Cambaux — tego wiedzieć nie możemy, niestety.

— To pytanie wyjaśni się z biegiem czasu. Rola barona de Lambriere w całym dramacie jest jeszcze dotąd dla mnie niewytłumaczoną i nie róbmy sobie, mój kochany, z tego wyrzutu. Uczyniliśmy dosyć, jak na teraz. Rzecz sama przez się później się wyjaśni.

— W każdym razie wiemy, że baron de Lambriere, nie popełnił samobójstwa, nieprawdaż?

— Oczywiście. W nocy, która nastąpiła po kradzieży dokumentów i zniknięciu pana Versigny, Lambriera zamordowano i upozorowano śmierć jego samobójstwem. Na to niema dwu zdań. Prawdopodobnie uczynił to ten sam człowiek, który usunął Włodzimierza Guzowa z pensyonatu „Europa" przy ulicy Tournon. Wyjaśniłem wam już poprzednio, że młody Rosyanin został zachloroformowany przy pomocy rozpylacza, wsuniętego w otwór ściany i następnie zamknięty w koszyku, który czcigodny ojciec Nataniel Bodminster sam wyniósł na dorożkę na szerokich barkach swoich. Gdzie się z nim udał i co z nim w dalszym ciągu zrobił, tego również nie wiemy jeszcze.

— A czy sądzisz, Bernac, że ten Nataniel Bodminster działał na rachunek w tym wypadku sir Archibalda Graves, czy też na własny? — zapytał pan Cambaux.

— Może być, że akcye tych dwóch grup rozwijały się równocześnie — odpowiedział Bernac — w tym samym celu i w tym samym czasie i bezwiednie przeszkadzały sobie. Morderstwo barona de Lambriere nasuwa mi to przypuszczenie. A może Nataniel Bodminster chciał się pozbyć wspólnika niepożądanego, lub też usunął posiadacza dokumentu, który mu był potrzebny i zabrał go? Na te pytania nie umiem sobie odpowiedzieć.

Ale przejdźmy dalej i streszczajmy się.

Celem, do którego dążymy, jest odnalezienie śladu bankiera Versigny'ego i możemy mieć nadzieję, że znajdziemy go żyjącego jeszcze!

— Oh! Panie Bernac! — zawołała Michalina — Gdybym w słowa pana wierzyć mogła!

— Przyznaję — ciągnął dalej Bernac — że w początkach nadzieja ta była bardzo słaba...

— Więc pan również ma obawy pewne, panie Bernac?

— Miałem je, kochane dziecko, ale dzisiaj z wielką radością i zadowoleniem mogę ci powiedzieć z całą szczerością i co jest głębokiem mojem przekonaniem, że pan Versigny żyje jeszcze.

Duże łzy zabłysły w oczach Michaliny, wyciągnęła do Bernaca rękę, nie mogąc ze wzruszenia słowa przemówić, ale wyraz jej twarzy był aż nadto wymowny.

Bernac również wysiłkiem tylko woli panował nad uczuciem, jakie w piersi jego wezbrało. Drżącą ręką przesunął po czole i po chwili odezwał się pewnym już i poważnym głosem:

— Według mojego zapatrywania, Gerard de Lambriere, choć to był człowiek zdemoralizowany już zupełnie i pozbawiony wszelkiej ambicyi i etyki i choć w tym czasie znajdował się w opłakanym stanie finansowym, nie mógł dla samego tylko zysku lub planów jemu tylko wiadomych zamordować lub też przyczynić się do morderstwa szwagra, któremu zawdzięczał wszystko.

— Czy nie łudzisz się, mój kochany? — zapytał Cambaux, bardziej pesymistycznie nastrojony — Istota tak zdegenerowana, jak baron de Lambriere...

— Panie Cambaux! To przecież byłoby okropne! — zaprzeczyła Michalina, patrząc na niego błagalnym wzrokiem, jak gdyby prosząc, żeby odwołał te słowa.

Cień przykrości i niezadowolenia przesunął się po twarzy Bernaca.

— Nie, nie łudzę się! — odparł stanowczo — Jeżeli między sir Archibaldem Graves a baronem de Lambriere istniał jaki układ, to tylko chodziło o uprowadzenie ojca panny Michaliny, nic więcej! Tego jestem pewny! Zresztą to wszystko, czego się dowiedziałem o charakterze angielskiego milionera i jego sposobie zapatrywania, pozwala mi przypuszczać, że ten także nie był w stanie dopuścić się niecnej zbrodni na panu Versigny!

— Widzi pan, panie Cambaux! — zawołała młoda dziewczyna — Wierzę, że pan Bernac bezpodstawnie nie mówi w ten sposób, jedynie dla uspokojenia mnie!

— Może być! — mruknął Cambaux — Znam wiele podobnych wypadków i niech się pani nie dziwi, panno Michalino, że wolę zawsze widzieć rzecz z gorszej strony, niż narazić się na przykre rozczarowanie. Niech mi pani wybaczy moje nieoględne słowa. Nie chciałbym za nic uczynić pani przykrości i wie pani, że gorąco współczuję jej smutkowi.

— Wiem, panie Cambaux — odpowiedziała Michalina — i nie mam najmniejszego żalu do pana.

— Zebraliśmy się tutaj u pana Bernaca, aby omówić smutną tę sprawę i nikt nie potrzebuje mnie ochraniać, bo w takim razie rozmowa nasza nie mogłaby być szczera.

— Oto mądre powiedzenie! — rozpromienił się Cambaux, który był zły na siebie za tę niewczesną uwagę — Panno Michalino, cenię panią z każdą chwilą więcej.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się przyjaźnie i podała mu rękę, którą Cambaux gorąco ucałował.

— A ty, nie potrzebujesz się tak strasznie przetrzeć na mnie! — zażartował, zwracając się do Bernaca — Widzisz, że jesteśmy z panną Michaliną w jak najlepszej zgodzie.

Bernac roześmiał się również serdecznie i przykre, chwilowe wrażenie wkrótce usunięte zostało.

— A teraz — rzekła poważnie Michalina — nie przerywajmy już więcej panu Bernacowi, niech kończy swoje wywody, bo i ja, zdaje mi się, będę mieć coś bardzo ważnego do powiedzenia.

— Pani? — zapytał niespokojnie Bernac.

— Tak, ja, ale nie teraz, później trochę — odparła młoda dziewczyna, wstrząsając się nerwowo — Słuchamy pana, panie Bernac.

— Archibald Graves był zapewne niebezpiecznym człowiekiem — zaczął Bernac — śledząc z niepokojem skupioną twarz Michaliny — i niejeden bezwzględny czyn miał na sumieniu. Ale nie mogę powiedzieć, żeby był podłym zbrodniarzem. W widokach sprawy, którą uważał dla siebie za ważną, postanowił się zabezpieczyć przeciw bankierowi Versigny'emu i w ten sposób pokrzyżować szkodliwą dla niego akcyę działania wpływowego przeciwnika. Ale odnosił się do niego z pewnem uznaniem i szacunkiem, który był dostateczną gwarancyą, o ile mi się zdaje.

Obecnie mamy dwa ślady, prowadzące nas do Jeroma Versigny. — Najsamprzód możemy dojść do niego, odnajdując owego Boba i Johmy'ego Wills, należących do przybocznej straży sir Archibalda Graves, a którzy dotąd nie ukazali się jeszcze na widowni. Nawet w hotelu „Princelet" na ulicy Helder nie widziano ich wcale, a przecież przybyć musieli do Paryża równocześnie ze swoim panem. Morderstwo, popełnione na nim, musiało ich wstrząsnąć silnie i zaniepokoić. Ale w takim razie cóż uczynić mogli ze swoim więźniem?

— To pytanie właśnie napełnia mnie nieopisaną udręką — szepnęła Michalina.

Cambaux, chcąc naprawić poprzednią nieuwagę, odezwał się pojednawczo, patrząc na młodą dziewczynę.

— Mogli o tym więźniu nic nie wiedzieć, mój kochany.

— Jakże to? To wydaje mi się niemożliwe! Wytłumacz się jaśniej, mój Cambaux.

— A więc przypuszczam, że we czterech, to jest Archibald Graves, Bob, Johmy Wills i baron de Lambriere, zaciągnęli pana Versigny w zasadzkę i uwięzili w jakiemś bezpiecznem miejscu... może nawet w okolicach Paryża — lub też i w Paryżu samym. Archibald mógł pozostawić pana Versigny pod strażą oddanych sobie ludzi, zapowiedziawszy im, żeby żadnych stosunków nie utrzymywali na zewnątrz, bo przecież miejsce uwięzienia musiało być zawczasu przygotowane — i odjechał. Oni zatem czekają, będąc może w nieświadomości śmierci Archibalda Graves — czekają do nowego rozkazu.

— Rzecz nie jest niemożliwa, tak, jak ją przedstawiłeś — zauważył Bernac — Ale, cobądź jest z tej strony, ślad nie jest dosyć jeszcze jasny, abyśmy dla niego porzucali czcigodnego ojca Nataniela Bodminster — nieprawdaż?

— Oczywiście. Tym ptaszkiem gorliwie zaopiekować się należy. Ale, gdzie go szukać?

— Jestem prawie pewny, że ukrywa się w Paryżu. Przecież był na tyle odważnym, czy bezczelnym, że niedawno jeszcze zjawił się w laboratoryum Włodzimierza Guzowa w Saint Oven i interpelował tam starego robotnika o pokazanie mu pracowni. Mógł to tylko uczynić w zamiarze wyszpiegowania miejsca, zbadania przyrządów i aparatów.

— W jakim celu?

— Żeby pochwycić tajemnicę wynalazku młodego Rosyanina, to przecież jasne. W przypuszczeniu, że ten tajemniczy ptaszek dowie się w jakiś sposób o moim pobycie w pensyonacie „Europa" i zechce tam jawnie powrócić jako czcigodny ojciec Nataniel, lub też pod przebraniem, zainstalowałem tam mojego szofera, Antoniego. To dzielny i sprytny chłopak, niema obawy, żeby go nie wyśledził. Tylko, mój Cambaux, ponieważ potrzebuję ciągle automobilu, będziesz tak dobry i dziś jeszcze zastąpisz go dwoma twoimi ajentami, którzy tam pozostać muszą aż do mojego odwołania.

— Możesz liczyć na to. Zajmę się tem zaraz...

— Chociaż czynię to tylko dla uspokojenia własnego sumienia — dodał Bernac — Nie sądzę bowiem, żeby był tak nieostrożny — ten Nataniel Bodminster, by dobrowolnie wchodzić tam, gdzie taki ślad jawny zostawił za sobą...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Legioniści-rekonwalescenci w Trenczynie.

Zdala od linii bojowej, na gościnnej ziemi węgierskiej, znajduje się szpital rezerwowy także w Cieplicach Trenczyńskich. Leczy się tu bardzo wielu Legionistów, a szefem drugiego oddziału jest Krakowianin, dr. Stefan Filipkiewicz, znany zaszczytnie, jako sumienny i zdolny lekarz nie tylko w Krakowie i Trenczynie, gdzie zwykle lato przepędza, ale wszędzie tam, skąd corocznie do Trenczyna spieszą tysiące cierpiących, by tutaj szukać ratunku. A można śmiało powiedzieć, że w każdym sezonie bywa tutaj prawie cały świat reprezentowany.

Zwłaszcza teraz, w wojennym czasie, rozwinął dr. Stefan Filipkiewicz nadzwyczaj błogą działalność i zajął się z całem poświęceniem rodakami, którzy na polu walki stracili zdrowie i tutaj je pragną odzyskać. Wdzięczność pacyentów, to nagroda dla sumiennego lekarza za jego trudy i starania, które umiały ocenić także i sfery wyższe, ozdabiając go honorową odznaką Czerwonego Krzyża drugiej klasy z dekoracyą wojenną.

Fotografię, przedstawiającą dra Filipkiewicza w gronie Legionistów-rekonwalescentów, nadesłali nam Jego pacyenci, nie mający dlań wprost słów uznania i chcący się bodaj w ten sposób odwdzięczyć za wszystko to, czego od niego doznali.

Z drugiej sceny krakowskiej.

Nie pomnę, jak dawno, lecz — o ile mi się zdaje — przed niespełna dwoma laty w ciągu jednej z moich błyskawicznych wycieczek z Zakopanego do Krakowa, wpadłem pewnego wieczoru do Teatru Ludowego, którego misya, według mego przekonania, należy do najdonioślejszych, jaką rozumna opinia wyznacza wszelkim instytucyom, poświęconym widowiskom publicznym. Odniesione wrażenie było przykre, to bowiem, co ujrzałem, rozmijało się niemal zupełnie z celami sceny ludowej, która wprawdzie dostarczać powinna masom pracującym godziwej rozrywki, lecz zarazem stać się, jeśli nie doskonałem uzupełnieniem szkoły, to przynajmniej barwną i plastyczną illustracyą jej ideałów.

Sztuka teatralna, przez to właśnie, że jest połączeniem kilku sztuk innych, że spełnia zaszczytne zadanie popularyzowania ich zalet i blasków, a niekiedy staje się mniej lub więcej szczęśliwym ich obrazem zbiorowym, wywołuje i wywoływać musi wpływ niezmiernie silny i głęboki na widza słuchacza. Wywołując go zaś, obowiązana jest — jeśli nie uczyć — to koniecznie kształcić i uszlachetniać. Zadania tego może dokonać tylko wtedy, gdy nie samą igraszką i zabawą przemawia do serc i mózgów, przebywających w ciałach, znużonych całodzienną, wyczerpującą pracą, lecz równocześnie, gdy rozbudza w nich duchowe aspiracye i oświeca umysły.



Z drugiej sceny krakowskiej: Helena Zahorska, art dramatyczna, w roli Magdy w „Gnieździe rodzinnem".

Czytając dzienniki krakowskie, a w nich tygodniowe sprawozdania z działalności Teatru Ludowego, z radością, lecz zarazem z pewną niewiarą dowiadywałem się, że nowa jego dyrekcya zwięźle zapowiedziany zarys programowy rozwija pomyślnie w czynie. Zdawało mi się rzeczą niemożliwą, aby w tak krótkim, jak rok, przeciągu czasu można było gromadkę aktorów, przyzwyczajoną do zadowalania niewybrednych słuchaczów żartami i dowcipami fars trywialnych w grze niemal cyrkowej, zmusić do otrząśnięcia się z niesmacznych, właściwych klownom nawyczek, wskazując im obowiązek i konieczność kształcenia się i uprawiania szlachetniejszych rodzajów sztuki teatralnej.

Ale co wydawało mi się zupełnie niemożliwem, aby w tymże samym czasie publiczność, rozmiłowana w sprośnych i gminnych krotochwilach, dała się zwrócić, nie tylko oczami, lecz sercem i duszą ku wiecznie promieniejącym słońcom wielkiego repertuaru, ku genialnym dziełom takich mistrzów, jak Szekspir i Sziller. Więc, żeby prawdziwość faktu stwierdzić, przybywszy w ubiegłym tygodniu do Krakowa, wybrałem się do Teatru Ludowego na przedstawienie „Gniazda rodzinnego" Sudermana.

Sam dramat, aczkolwiek nie należy do arcydzieł, jest pod względem technicznym, a poniekąd i ideowym, zręcznie i udatnie napisanym utworem. Jako taki przedstawia zatem dla młodego i zmanierowanego przez dawne kierownictwo towarzystwa dramatycznego, oraz dla jego nowego dyrektora, dra T. Konczyńskiego, niezmiernie trudne zadanie uscenizowania i wykonania. Z przyjemnością przekonałem się, że nieufność moja nie miała racyi bytu. — Znalazłem układ i ugrupowanie w akcyę wprowadzonych postaci niezaprzeczenie poprawne i obmyślane artystycznie.

Panna Helena Zahorska, posiadająca oczy wymowne, pełne wyrazu, głos miły i dźwięczny, tudzież wspaniałą postawę, przedstawiła mi się w roli Magdy nie jak dyletantka, wiele obiecująca na przyszłość, lecz jako już artystka, zdobywająca zaszczytne stanowisko w kunszcie, polegającym — przy najwyższym nawet talencie — na rutynie. Rutynę jednak osiągnąć można niekiedy prędko, gdy ją wspierają: wykształcenie, zdolności wrodzone i praca, a warunki powyższe widocznie p. Zahorska posiada, jeśli dziś grą swoją subtelną i intelligentną wywołuje wrażenie prawdy, uidealizowanej szczerem uczuciem.

P. Grolicki, młodziutki, początkujący aktor, w bardzo trudnej roli pułkownika umiał wcale szczęśliwem usiłowaniem wykazać posiadanie twórczości charakterystycznej. P. Klan, grający pastora — zwykle, nawet przez doświadczonych wykonawców prześladzanego — trafił w ton właściwy, jakim kapłan przemawiać powinien, raz, jako zwykły śmiertelnik, cierpiący wraz z bliźnim, innym razem, jako głosiciel nauki Chrystusa. P. Heleński wywiązał się z niełatwego zadania, grając wcale udatnie próżnego samoluba. Wykonawcy mniejszych ról przyzwoicie zaokrąglali całość przedstawienia.

Zygmunt Sarnecki.



Legioniści-rekonwalescenci w Trenczynie: Dr. Stefan Filipkiewicz (X) w otoczeniu swych pacyentów.

Kronika tygodniowa.

W kwestyi kawowej, którą niedawno poruszyłem, otrzymałem przed kilku dniami dwa listy. — Pierwszy z nich pochodzi od pewnego Legionisty, leczącego się w szpitalu w Nowym Sączu. Ze względu na swą treść i formę list ten zasługuje na powtórzenie, choć *Nowości illustrowane* poezye z zasady bojkotują, co wychodzi tylko na zdrowie Czytelnikom.

Brzmi on, jak następuje:

„Zachęcony wezwaniem Twojem, Kronikarzu,
Maczam pióro natchnienia w brudnym kałamarzu,
I piszę smętną odę do karty kawowej,
Łyknąwszy przedtem kielich morelowej!

Czarna karto kawowa, nieszczęsne zjawisko,
Przeklęty wynalazku w tej wojennej dobie,
Wyprawiasz z płcią niewieścią straszliwe igrzysko,
Niosąc wszędzie nienawiść, pogrążasz w żałobie!

Przyznać ci jednak trzeba, o karto kawowa,
Że smak lepszy mieć będzie ta kawa kartowa,
Dlatego, bo zwyczajnie to lepiej smakuje,
Czego wcale nie mamy, lub czego brakuje.

A cóż wtedy pić będą? — zapytasz — do kata!
Ja ci z dumą odpowiem: Jest jeszcze herbata,
A dla nas wierszokletów mocna morelowa!
Herbata, morelowa dwa płyny kochane,
Których jeszcze nie tknęła choroba kartowa,
Lecz już czuję w powietrzu... karty herbaciane,
Karty piwne, wódczane i wodociągowe,
Karty solne, pieprzowe, również rycynowe,
Cytrynowe, bławatne, szklane, papierowe,
A dla panien i wdówek też karty mężowe.
Wszelakie karty sypać się będą obficie,
„Zakarciło“ się całkiem biedne nasze życie.

. . . .

Lecz na tytoń nie będzie kart, co bardzo chwalę,
A to z tego powodu, że go niema wcale!“

Wierszyk ów, bardzo udatny i na czasie, zasługuje na to, by Szanowni Czytelnicy nauczyli się go na pamięć i powtarzali, ilekroć przyjdzie im apetyt na kawę.

Drugi list z Krakowa, jest więcej sentymentalny. Autor pisze:

„Poruszyłeś, Szanowny Kronikarzu bolączkę, która i mnie dolega. Jestem, byłem i będę amatorem kawy i cierpię wielce z powodu jej braku. Jestem żonatym, tak jak i Ty, posiadam więc swą Weronisię, której jednakowoż inaczej jest na imię. Otóż ona właśnie wysłała mnie swojego czasu do biura chlebowego po kartę kawową. Nałaziłem się dosyć, zanim ją otrzymałem, a gdym już był w jej posiadaniu, przekonałem się, że kawy brak! Ja jej nie piję, gdyż mnie denerwuje, lubię ją jednak z innego powodu. Do zajęć moich codziennych należało mełcie kawy na młynku ręcznym, ponieważ zaś jestem artystą z krwi i kości, a jako taki wyrobione mam i górne i dolne tony, oraz bardzo bujną fantazyę, podczas tego prozaicznego aktu przyśpiewuję sobie, a równocześnie wyobrażam, że gram na aristonie. Rodzina i znajomi twierdzą że mam głos bardzo ładny i radzą mi, bym porzucił karyerę urzędniczą, a obrał sobie artystyczną. Scena dla mnie zresztą nie jest nowiną. Kilkakrotnie występowałem już w teatrach amatorskich, udając głos ludu za kulisami. Miałem nawet swojego czasu zamiar zaciągnięcia się w szeregi naszego Towarzystwa operowego, ale dałem sobie spokój... Dziś z powodu braku kawy młynek odpoczywa, a ja cierpię, pozbawiony artystycznej rozrywki. Jeśli możesz, poradź na to, myślę bowiem, że współczujesz ze mną!“

Odpisałem, dając radę odpowiednią, nie powiem zaś, jaką. Niech się Czytelnicy domyślą, będą mieć zajęcie.

Większą daleko satysfakcyę sprawił mi natomiast list z Berna, od pewnej Czytelniczki, która nadesłała mi w dowód uznania paczkę tytoniu, zachęcając, bym dalej pisał „o tych naprawdę zwaryowanych babach, bo przy zdrowym rozumie, żadna w dzisiejszych czasach nie urządza maskarady. Pisz Pan jak najczęściej, a przecież może zrozumieją powagę chwili. Gdy byłam w Krakowie w Zielone Święta, serce bolało patrzeć, że Polka tak się stroi,

gdy taka tragedya toczy się na ziemiach polskich, gdy tyle tysięcy bez chleba i dachu! Przykre to i bardzo bolesne!...“

Te wszystkie trzy sprawy zajęły mi dużo czasu, traktowałem je przecież urzędowo, prywatnie natomiast wbiły mi się klinem w głowę z przeproszeniem spodnie Faraona, o których w ubiegłym tygodniu pisał szeroko *Kuryerek*. Dla wiadomości tych, którzy o tem jeszcze nie słyszeli, powiem, że jakiś tam Francuz, który dorobił się grubych hopów na dostawach dla armii, będąc równocześnie archeologiem-amatorem, gdy wyczytał, że są na sprzedaż oryginalne inexprimable prawdziwego egipskiego Faraona, nie mógł tego przenieść po sobie, by ich nie nabyć za drogie pieniądze.

Jakież jednak przykre ogarnęło go zdziwienie, gdy się dowiedział, że nie on jeden jest właścicielem takiej osobliwości, ale są i inni szczęśliwcy, którzy ten sam zabytek zakupili u tego samego, co on, handlarza starożytności. Podejrzywając, że padł ofiarą oszustwa, skierował sprawę na drogę sądową, czem zabił znów klina w głowę sprawiedliwości francuzkiej i mnie, który zajmuję się wszystkiem, co dotyczy Egiptu i jego historyi.

Rozchodzi się dziś mianowicie o rozwiązanie dwu kwestyi:

1) Czy Faraon odnośny używał tego rodzaju ubrania?

2) Jeśli używał, czy mógł posiadać kilka par równocześnie?

Przerzuciłem wszelkie podręczniki i dzieła najznakomitszych egiptologów, encyklopedyę Mayera, Brockhausa i Orgelbranda i doszedłem z jednej strony do przekonania, że starożytni Egipcyanie, więc i Faraon, chodzili z gołą głową i obywali się bez kamizelki i innych części garderoby, nagość swą cielesną zakrywając natomiast płaszczem. Biblia, wspominając o gościnnych występach Józefa w Egipcie, wyraźnie powiada o kawałku płaszcza, który pani Putyfarowa na pamiątkę urwała swemu przyjacielowi domu, a nic o innym szczególe garderoby. Z drugiej znów strony wyciągnąłem wniosek, że Faraon mógł już ubierać się po europejsku. Wnoszę to z tej okoliczność, że na przedstawieniu „Pięknej Heleny“ widziałem na własne oczy, iż obaj bracia Ajaksowie używali „monokli“. Jeśli więc w czasie wojny trojańskiej znane były monokle, równocześnie w Egipcie mogły być w używaniu i „niewymowne“, choć o tem historya wyraźnie nie wspomina, a dziwnym trafem nie dochowała się z owych czasów ani jedna fotografia.

Jeżeli więc, dajmy na to, Faraon paradował po Egipcie już w spodniach, ciekawy jestem, dlaczego nie miałby mieć kilka ich par równocześnie, z których tylko jedną zabrał ze sobą na drogę wieczności, by módz przyzwoicie stanąć, gdy w dzień sądu ostatecznego zawoła go do apelu głos trąby archanielskiej. Wszak nie tak dawno czytaliśmy w gazetach, iż we Lwowie pewnemu panu, który nie był wcale Faraonem, skradziono aż ośmnaście par „niewymownych“. Z tego wnoszę, że tak ów dostawca, jak i inni nabywcy mogą być bardzo łatwo szczęśliwymi posiadaczami autentycznych Faraonowych inexprimabli.

Swoją drogą, ukończywszy moje dociekania, znalazłem się w tem samem stadyum, co ów uczony filolog, który stwierdził, że Homera nie było nigdy na świecie, ale dowiódł też faktami, że był on od urodzenia ślepy i dlatego nie zaasenterowano go do wojska w czasie ogólnej mobilizacyi armii greckiej po wybuchu wojny trojańskiej. Ja sam badałem dawniej zamierzchłe dzieje i napisałem nawet rozprawę naukową, wydaną przez Akademię Umiejętności, traktującą o życiu i wojennych fortelach Odysseusza, wykazując jasno, jak na dłoni, iż on nigdy nie żył, pozostawił jednak syna, Telemaka, który po nim objął rządy na Itace.

Badania naukowe to nie łatwa rzecz, często się zdarza, nawet i wielkim uczonym, że dochodzą do wprost przeciwnych wniosków, ale trzeba też powiedzieć na ich pochwałę, iż nie tracą wówczas fantazyi, ale potrafią dowieść nawet tego, co laikowi wydałoby się nie do udowodnienia.

Dlatego też i ja nic sobie z tego nie robię, że raz przekonałem się, iż Faraon chodził bez... kamizelki, drugi raz, że miał ich nawet kilka.

Być może, iż ktoś mi powie, że we wojennym czasie nie powinno się zajmować takiemi głupstwami. Przyznam mu racyę, dodam jednak na swe usprawiedliwienie, iż równocześnie badałem też i inne kwestye, dla nas bardzo żywotne. W pierwszym więc rzędzie uczyłem się, jak się robi zupę rumfordzką, ongiś tak popularną. Wprawdzie wynalazł ją Anglik, nasz wróg, ale na złość właśnie Anglikom zupką tą ratować się będziemy w tych ciężkich czasach. Według zapewnienia wynalazcy jest ona potrawą najtańszą, najsmaczniejszą i najpożywniejszą, przyrządza się ją zaś z jęczmienia, grochu, ziemniaków, octu, wody i kawałków chleba. Jak się ją robi, o tem wyraźnie powiada wynalazca, wskazując, w jakim porządku trzeba gotować wszelakie ingredyencye i jak długo, poleca mieszać łyżką drewnianą (kto ma dziś srebrną!...), a na końcu, po dodaniu soli i octu, wrzucić chleb, pokrajany na drobne kawałki. W razie, gdyby chleba brakło, można zamiast niego użyć karty chlebowej, ale zupa wówczas nie będzie już taka smaczna i pożywna. Do nasycenia zupełnego zdrowej, mocnej osoby wystarczy pięćset gramów.

Niegdyś — dawne to już lata — karmiono i u nas ubogich rumfordzką zupką, którą sobie oni nie bardzo chwalili, kto wie, czy nie będzie obecnie trzeba powrócić do niej, wobec czego poleciłem Weronisi, by rozpoczęła próby. O wyniku nie zapomnę zawiadomić ogół Czytelników, którym również radzę, niech zaciągają się pod sztandar Benjamina Thompsona, który tylko dzięki owej właśnie zupie został później hr. Rumford i zmarł w późnym wieku.

Od zupy rumfordzkiej do uruchomienia Rady miejskiej, na które czekamy, tylko jeden krok. Czekamy na ojców miasta, kiedy zbiorą się w sali pałacu Wielopolskich, a i oni czekają na tę chwilę, skarżąc się na bezczynność przymusową, gdy oni tak chętnie pracowaliby dla dobra ukochanego miasta. Bo, że mają oni zawsze dobre chęci, w to nie wątpię ani nigdy nie wątpiłem, gdyż u nas wybiera się przecież na godność rajców miejskich tylko tych, którzy na to zasługują. Inna kwestya, że same chęci nie wystarczą nieraz!

Myślę, że dobrze zrobiłoby prezydyum miasta, gdyby tak kazało wydrukować w odpowiedniej liczbie egzemplarzy pouczenie podwójcięgo Najwyższego Sądu dla miast polskich w Krakowie, Bartłomieja Groickiego (wiek XVI), który w dziele: „Porządek sądów i spraw miejskich“ stawia pytanie: „Którzy mają być w Radę obierani?“ i tak odpowiada:

„Dla pożytku miejskiego mają być obierani w radę ludzie dobrzy, mądrzy, lat zupełnych, przynajmniej we dwudziestu i w piąci lat w mieście osiedli.

Wszakże nie bardzo bogaci, ani też ubodzy, ale średniego stanu, albowiem bogaci, a możni, częstokroć zwykli rzeczpospolitą uciskać i niszczyć. Ubodzy zasie, jako łacni — żadnego pożytku nie czynić. Ale średni k'czemu są najsposobniejsi, którzy na swem przestawając, cudzego nie pożądają, a pospolitą rzecz nad własną przedkładają.

Nadto mają być z prawego małżeństwa narodzeni, doma zawżdy mieszkający i dobrej sławy; Boga się bojący, sprawiedliwość i prawdę miłujący, kłamstwa i złość w nienawiści mający, tajemnic miejskich nie objawiający, w słowach i uczynkach stali, łakomstwem się brzydzący, darów nie naśladujący (t. j. nie pożądający się datkami), mierni, nie pijanice, nie dwujęzyczni, nie pochlebcy, nie błaznowie, nie natrętowie, nie cudzołożnicy, nie owi, których żony rządzą, nie lichwiarze, nie fałszerze, nie zwadliwi, albowiem zgodą małe rzeczy mnożą się, a niezgodą wielkie niszczeją.

Też nie ma być na to obieran człowiek obcy i inszego prawa (t. j. cudzoziemiec lub nie mieszczanin), i komuby było dziewięćdziesiąt lat“.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawiania.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O! Ćma i kret kocha kordon cytryn i jaśminu.

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko jednego z serdecznych przyjaciół Adama Mickiewicza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Inaczej wodociągi. 3. Stary pieniądz 4. Stolica europejska 5. Cz'ść mowy. 6 Wyspa koło Grecyi. 7 Syn Noego. 8 Przyjaciel Mickiewicza 9. Zamek. 10. Spółgłoska

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć, idąc ośm razy z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

1. Wolno chłopu na pana palcem w bucie kiwać
2. Jak sobie pościelesz, tak się wyspisz.
3. Wolno panu robić cukier nawet z chrzanu.
4. Lubią go, jak psy dziada na ciasnej ulicy.

Grzebieniówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko polskiego malarza-Legionisty.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Grzyb 2 Opad atmosferyczny. 3. Jamochłon 4 Bohater węgierski. 5. Skorupiak. 6 Poeta węgierski 7 Ryba.

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

a a a g
g o p r
r r r s
s u u y

Znaczenie wyrazów: 1. Pseudonim polskiego powieściopisarza. 2 Port w Rosyi 3 Nieuprawna ziemia. 4 Imię żeńskie żydowskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Lokaj dał babie pokłon, a daje i dno

Kwadrat magiczny.

Ułożył E. Winter, Stanisławów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko słynnego poety niemieckiego.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Lud aryjski. 3. Wódz Kart-gińczyków. 4. Zawód techniczny. 5. Ssak z rodziny szczerbaków 6. Kwiat. 7. Imię żeńskie. 8 Miasto na Żmudzi.

Okienko.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a e e e
e k k
m m n
n n n o o p r
r r s
s s s
t t t w w y y

Znaczenie wyrazów: 1 Miasto we Włoszech. 2 Inaczej wywóz 3 Drogi kamień.

Okienko.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

n o o o o
o o p
r r s t t
t t t
t u u z z

Znaczenie wyrazów: 1. Opłata. 2 Część pieca. 3 Imię męskie.

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Przecławski, Podgórze.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ZUPACZEWSKI.

JAN E. OZADZKI

ARON TERMIT.

AGRYPIN SZMIN.

IZYDOR NEWY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 27.

Logogryf:

B o r a
m o r a
l o ż a
E l o e
k l o c
I d z i
s t a l
a ł u n
O m a r

Zadanie do przestawienia: I na złocie straci, kto je przepłaci

Kwadrat magiczny:

Ś l a z
l o ż a
a ż u r
Z a r a

Przysłowiówka: Dunaj przepłynął, a w Dunajcu zgi'ął.

Trójkąt magiczny:

S c o t t
C i s a
O s a
T a
T

Zadanie do przestawienia: Kogo woda zbawi, to zbawi, a gorzałka każdego na nogi postawi

Trójkąt magiczny:

K i s t e l n i a k i
I n s t r u k t o r
S z p i l l a r d
I n s b r u c k
E k w i p a ż
L a w i n a
N a n c y
I g ł a
C e p
K u
I

Zadania do przestawienia: Gdyby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała

Kwadrat magiczny:

O l g a
L y o n
g o d y
a n y ż

Bilety wizytowe: Arlekin. Psychiatra. Dziennikarz. Namiestnik Budowniczy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Podgórze, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S Skowrońs i Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S Grodzicki Praga. K. Kowalski Wiedeń, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów. S. Bednarski Przemyśl, S Jaśkiewicz Wiedeń, L Kozubski Wiedeń.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **H. Korytowski, Cieszyn.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Modlitwa dziewicy.

— O Boże! Zachowaj mi przy życiu mego Juleczka, bym nie potrzebowała szukać sobie innego narzeczonego!...

W Zakopanem.

— Ej, gazdo! Pytałem się was, jak daleko stąd do Białki, powiedzieliście, że tyle drogi, ile potrzeba czasu na wypalenie jednego cygara... Tymczasem pokazało się, że szedłem sześć godzin!

— No... prosem piknie! A wypoliliście to cygaro?

— Nie! Ja wogóle nigdy nie palę!

— A no! Widziecie, zem mioł racyje! Hej!...

Usprawiedliwienie.

Ona: Obiecywałeś mi, że będziesz się starał wyczytać każde życzenie z mych oczu... Jakoś tego teraz nie widzę!

On: Tak, moja droga! Miłość uczyniła mnie ślepym! To już nie moja wina!

Synek automobilisty.

Mały Jaś zgniewał swego papę, znanego sportsmana krakowskiego, który też sprawił mu za to porządne lanie. Przy początku egzekucyi Jaś milczał, nie mogąc się jednak doczekać końca, odwrócił twarz ku swemu rodzicielowi i zapytał:

— A ty z siłą ilu koni bijesz dziś?

W biurze stręczeń małżeństw.

Pośrednik: Mam dla pana hrabiego niezłą partyę, zanim go jednak zapoznam z tą panną, chciałbym wiedzieć, jakich zalet żąda pan hrabia od przyszłej żony?

Hrabia (zblazowany i goły): Przedewszystkiem musi być bardzo ładną.

— Dobrze! Cóż dalej?

— Musi być cnotliwa, z dobrego domu i inteligentna.

— I nic więcej?

— Jakto nic więcej? Musi być bardzo bogata.

— Przyznam się w takim razie panu hrabiemu, że musiałaby być bardzo głupią, gdyby za niego wyszła.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego